Nr. 7. Lwów, dnia 1. Lipca 1892. Rok XV.



PRENUMERATA ROCZNA: marek 5 złr., 5 rs. 12 fra zł.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Z ŁOWIECKIEJ PRZESZŁOŚCI

napisał

Władysław Spausta.

IV.

Sobol.

Do kategoryi zwierząt arktycznego podniebia, które swego czasu pospołu z innymi reprezentantami stref zimnych zamieszkiwały całą Europę środkową, zaliczyć należy i s o b o l a, któremu lesiste puszcze ziem naszych o tyle przypadły do gustu, iż zatrzymał się tu nieco dłużej w swym pochodzie na północ i według wszelkiego prawdopodobieństwa w historycznych już czasach należał do stałej fauny krajowej we wszystkich dzielnicach ziem naszych.

O ile z tych samych przyczyn, które już w pracy tej mówiąc o suhaku przytoczyłem, bardzo szczupłe podaje nam o sobolu wiadomości kronika łowiecka, o tyle więcej mówią o nim tradycya ludu, nazwy miejscowości i ludzi, a w piosnkach gminnych niemal wszystkich ziem polskich, w tej „arce przymierza między dawnymi a młodszymi laty“, znajdujemy trwałe pomniki pobytu tego zwierza.

Wprawdzie mógłby ktoś zarzucić, że nazwy rodzin i miejscowości mogą się odnosić niekoniecznie do sobola jako zwierza krajowego, że owe Sobolewo w Suwalskiem, Sobolony w Maryampolskiem, Soboliczki w Kalwaryjskiem, Sobolówka w Złoczowskiem i wiele innych nazw topograficznych, niemniej nazwiska wielu starych co do pochodzenia rodzin, w których ten sam źródłosłów występuje, mogą również brać swój początek w nazwie zwierzęcia wcale nie krajowego, którego futra były swego czasu wysoko u nas cenione i od Moskwicinów za drogie pieniądze nabywane — i zarzut tego rodzaju byłby w części słuszny, a bardzo trudnym, jeżeli nie niepodobnym dowód, że tak nie jest — lecz oprócz tego nazwa sobola powtarza się dość często u ludu w rozmaitych dzielnicach kraju, a choć obecni właściciele tych nazwisk wcale już nie wiedzą, co to brzmienie oznacza i nie mają żadnego pojęcia o zwierzęciu, którego nazwę noszą, mimo to częste powtarzanie się tego brzmienia w nazwach ludowych, odpowiadające zwyczajowi stosowania nazw zwierząt krajowych do nazw ludzi, nie pozwala wątpić o źródle, skąd owi tak liczni pomiędzy ludem „Sobole“ początek swój biorą.

Były to początkowo tylko bliższe oznaczenia, odróżniające osobników jednego i tego samego imienia, a później

stały się niezmiennem już nazwiskiem rodów. Myśliwy, trudniący się łowami sobola, dostawał dla odróżnienia odpowiednie przezwisko; powstawali zatem tak samo Sobole, jak Horonostaje, Wołkie, Zajaci, Kuny itp. Częstokroć do nazwy rodowej już istniejącej, dodawano dla lepszego odróżnienia okolicznościowe przezwisko i stąd pochodzi, iż włościanin, zapytany o nazwisko, rozróżnia częstokroć nazwisko „jakiem się pisze“ od nazwiska, pod jakiem jest znany. Na Rusi włościanin i „pysał sia“ i „kłyczał sia“, a jakkolwiek owe przezwiska dodatkowe zwykle odnoszą się do okoliczności nic nie znaczących, drobiazgowych, zwykłych, wyświecają nieraz choć niewyraźnie przeszłość w tem miejscu, gdzie napróżnoby było szukać wyjaśnień w pisanych dziejach.

Łowiectwem sobola zajmował się prawdopodobnie tylko włościanin i uboższa szlachta, podobnie jak specyalnością tych klas jest po dziś dzień łowiectwo pokrewnych sobolowi kun, tchórzów, gronostajów i t. p. Lud zatem był niezawodnie specyalnym znawcą sposobów łowieckich na sobola, zwłaszcza, iż panowie chętnie oddawali tego rodzaju łowy poddanym lub ubogiej szlachcie, nie mając ani chęci ani sposobów do zajmowania się takiem łowiectwem. Podobnie jak o zającu, „że go kto inny uszczuje“, powiedziałby Pan i o sobolu: „uchwyci go kto inny, i lisa przy nim“. (Notaty gospodarskie 1560—1570. Anzelma Gostomskiego wyd. 1588 Kraków).

Chłop zatem łowił sobole sposobami, jakie mu prastara przekazała tradycya, a ulepszał je coraz bardziej, gdyż ulepszenia takie wywoływała sama przez się drogocenna i modna sukienka sobola, aż wreszcie mistrzowstwem swem doprowadził do zupełnej zatraty tego zwierza. Podobną drogą jak poszły sobole, pójdą kuny i tchórze; z każdym rokiem ilość ich się zmniejsza, bo chociaż trudne są do połowu i skryty żywot prowadzą, przecież nie mogą się ostać wobec nadzwyczajnego sprytu, z jakim wieśniak na nie dybie. Łowiectwo tego rodzaju, podobnie jak niegdyś łowy na sobole, nie może animować najgorliwszych nawet myśliwych, chodzi tu bowiem głównie o skórkę, o korzyść pieniężną, która jak niegdyś tak i dziś nie leży w granicach marzeń myśliwskich. „Komu da Bóg ziemie albo imienia, sromota i grzech kupczyć, bo to Bóg innemu stanowi naznaczył“ — powiada wojewoda rawski A. Gostomski (str. 91), a przedtem nieco uznaje, że „zając też nie zły i potrzebny na misę, ale to sprośna, kto go sam szuka, a ma co potrzebniejszego czynić i nie na to się urodził“. Podobnie zapatrywać się musiał karmazyn 16-go stulecia i na sobola; cenił jego futerko, ale zresztą nie obchodził go ten zwierz wcale, podczas gdy zajmuje go gruby zwierz puszczy, „bo kto ma puszczę, a wielki zwierz w niej, nie jest tak głupi, coby sieci nie miał“.

To też nie dziw, że łowy, o których wspominają dzieje, nic o sobolu nie mówią, a jedynie tylko stara piosnka myśliwska wspomina o dziwnem na to zwierze polowaniu, które w istocie nigdy miejsca mieć nie mogło, tj. o łowach na sobola z chartami! Ani lesista przyroda, w jakiej ten zwierz zwykł w najskrytszych jej zaułkach przebywać, ani jego drogocenne futerko, nie dopuszcza w żaden sposób tego rodzaju łowów, a nasza stara piosnka, to widoczna *licentia venatoria*, to wykwit dobrego humoru i wesołego umysłu myśliwskiego, to wytwór fantazyi łowieckiej, której mieliśmy zawsze dosyć. Po szczęśliwem ułowieniu panny, sarny i zająca, dostrzega autor piosnki biegnącego sobola:

Aż tam biegnie sobol, sobol, towarzyszu mój!
Puszczaj charty ze smyczą,
Niech sobola uchwycą,
Towarzyszu mój!
A teraz się dzielmy, dzielmy, towarzyszu mój!
Tobie zając i sarna,
A mnie sobol i panna.
Towarzyszu mój!

Jednak ta fantazya łowiecka ma swoją wartość w historyi sobola, bo dowiadujemy się z niej, że autor piosnki uważać musiał to zwierze jako krajowe i w rzędzie zwykłych naszych zwierząt je umieścił, pomimo, iż wyniszczenie sobola na ziemiach naszych postępowało bardzo szybko, gdy wszechwładna moda wprowadziła jego futerko do stroju klas możnych, zaczem i cena tego futra do niesłychanej doszła wysokości.

Już w drugiej połowie XV. wieku, pod rządami Kazimierza Jagiellończyka, poczęto zarzucać dawne proste i tanie odzieże. Na wzór dworu królewskiego, dokąd niepraktykowane dotąd weszły obyczaje, gdzie kultura zachodu i zwyczaje wschodu łączyły się w wybrednym przepychu, inne gusta objawiły się także u klas możnych, rugując coraz bardziej prostotę dawnych czasów. Klimat ostry, zmuszający ongi do okrycia ciała „łupieżą“ t. j. złupioną ze zwierza domorosłego i wyprawioną skórą, wywołał w tym prądzie szczególniejsze bogactwo w użyciu odzieży z drogocennych futer, a kiedy sobol stał się nietylko potrzebą ale i modą w delii magnata, w szubie dostojnika duchownego, gdy się stał strojem nietylko panów ale i ich służby, nie mógł już istnieć długo jako zwierze krajowe, tem bardziej, iż nowe gusta i mody, ogarnąwszy raz najwyższe stany, nie miały już granic i coraz dalej szerzyły się ku dołowi. Poszły w kąt dawne wilczury, futra baranie, futerka z krzeczka (chomika) lub popielicy.

„Mieszczka sobolami grzbiet okłada i zasiada wespół ze szlachtą“ mówi ze zgorszeniem Witkowski (w „Pobudce“). Barani kożuch, okrywający niedawno jeszcze Władysława Jagiełłę (Bielski, Kromer) był w wyobrażeniu zmienionych gustów w największej poniewierce, jak to wskazują dawne bardzo przysłowia „lis grzeje, kuna chłodzi, sobol zdobi, a baran wszy płodzi“. Grzała się zatem biedniejsza szlachta w lisiurach, chłodzili w kunach krew gorącą żydzi, zdobił się pan sobolem, a chłopa kożuch świerzbiał na ciele. W XVI-ym wieku mawiano u nas: „Lisie pomknij się, kuno przed stół, sobolu za stół, a ty baranie za piec“.

Takie przecenienie futra sobolowego wywołać musiało i bajeczną jak na owe czasy cenę, cenę, jaką tylko może mieć przedmiot zbytku, pożądany przez ludzi zamożnych. Opowiada Niemcewicz (w tom. II. Pamiętn.), iż w 1596 ofiarował legatowi papieskiemu król polski 40 soboli wartości 500 skudów, z czego wypływa, iż już w 16 wieku wartość jednego sobola dochodziła do 30 zł. naszej waluty, (Scudo, stara włoska moneta = 10 Paoli = 100 Bajoki = 4·33 marek, zatem 500 scudów = 2165 marek, a jeden sobol 54 marek tj. około 30 zł. w. a.) A zauważać przytem należy, iż współcześnie kosztowała krowa 20 złotych polskich, baran zaś 3 złp. 22 gr. (według Haura i notat Łojki Feliksa na str. 186 tom I. o litewskich i polskich prawach).

Futra sobolowe były już w 16-wieku wyłącznie prawie nabywane od Rosyan, a sobol nasz, jako zwierzę krajowe, mógł się chyba utrzymać w pojedyńczych egzemplarzach w najniedostępniejszych zaułkach puszczy. Upoważnia mnie do tego twierdzenia wiadomość, zawarta w dziele Czackiego, iż za czasów Zygmunta I. złapać miano koło Knyszyna sobola białego.

Wobec ceny wygórowanej futer sobolich, ogromnym miał być ów dobrowolny haracz, jaki składać musiała Polska północnym sąsiadom, bo nietylko, że futer tych potrzebowano

do stroju, ale szafowano nimi jako podarkami na zewnątrz z prawdziwie pańską hojnością. Kto niebądź z zagranicznych dostojników wszedł w jakie stosunki z dworem czy polskim magnatem, wywoził obok innych drogocennych darów bodaj kosztowną ferezyę sobolową. Nawet wybrednego gustu Henryk Walezy cieszył się niezwykłym dla mieszkańca zachodu darem, ofiarowanym mu w Kurnicy przez Stanisława Górkę; były to prześliczne moskiewskie sobole. Legaci papiescy, ambasadorowie, członkowie obcych dworów, zjawiający się przypadkowo w Polsce, a nawet Turcy — wszyscy wywozili od nas drogocenne futra sobolowe.

To też nie dziw, że pożądanymi gośćmi byli handlujący skórkami sobolowymi Moskwicini i nie wątpić, że umieli z właściwym sobie sprytem wyzyskać modę i hojność naszych klas zamożnych. Moskiewscy kupcy oczekiwali z upragnieniem wielkich jarmarków w Polsce, lub panowie słali swych urzędników do miast rosyjskich w celu zakupna soroków sobolowych. Handel ten pobudzał kupców do gorączkowej czynności, skąd u nas w 16-ym wieku powstało przysłowie (przytoczone u Łukasza Górnickiego): „czeka jak Moskwa czasu na sprzedanie soboli".

Łatwo pojąć, iż w obec takiego popytu, skórka sobola stała się dla niego klątwą zatraty nawet w najniedostępniejszych puszczach Rosyi europejskiej. Podobnie jak na ziemiach naszych, o ile się zdaje w 15-ym wieku, zabrakło soboli u schyłku 16-go wieku na całym ogromnym obszarze ziem po zachodniej stronie Uralu. Dopiero wyprawa awanturniczego Jermaka w 1579 na czele garstki kozaków uralskich, będąca wstępem do opanowania olbrzymich obszarów ziemi, rozciągających się od gór Uralskich aż po morze Behringa, otworzyła nowe dziewicze kraje nad Jenisejem, obfitujące w najwyżej cenione swego czasu sobole. W r. 1617 założone zostało miasto Jenisejsk a opanowania zachodniej Syberyi dokonano właśnie w chwili, gdy kupieckiej rodzinie Stroganów zabrakło terenu do obfitych i korzystnych łowów sobola na zachodzie gór Uralskich.

W chwili zajęcia Syberyi aż po Krasnojarsk, założony w r. 1626, poczęły płynąć z tego na pozór niewyczerpanego źródła najrozmaitszych futer również i sobole obficie. Były czasy, kiedy Tunguzi, nie mając wyobrażenia o wartości skórek sobolowych w Europie — podobnie jak dziś jeszcze mieszkańcy dzikich krajów, oddający swe dyamenty i perły za byle jakie świecidełka — mieniali skórki sobolowe za błahe wyroby przemysłu. Za żelazny „koprak" brano od nich tyle skórek, ile się w nim pomieścić mogło, podobnie jak u nas gdzieniegdzie mieniają garnki za zboże lub kosze za ziemniaki, które się tam pomieścić mogą.

Zanim złoto jako metal bezpośrednio zaczęło płynąć z tego bogatego kraju, w złoto przemieniały się żywe jego produkta i ogromną korzyść odnosili kupcy futer sobolich, a w obec gorączkowych łowów na sobola, coraz to rzadszem stawało się to zwierzątko w całem paśmie zajętej Syberyi, którą po 68° geogr. szerok. zamieszkiwało. Lecz coraz to dalszy pochód Rosyan na wschód i zajmowanie coraz to nowych obszarów, ułatwiało dostarczanie ciągle wielkiej ilości futer sobolich. W r. 1628 dotarli Rosyanie do Leny, a w r. 1633 byli już w Kamczatce, na kresach azyatyckiego kontynentu, który ostatecznie w zupełności w r. 1699 zajęli.

Gdy nad Jenisejem, w sto lat po zajęciu tego kraju, rzadkim stawał się sobol, ukazały się nowe skarby futer sobolich w świeżo zajętej Kamczatce. Na tym północnowschodnim cyplu wschodniej półkuli, na kresowym tym półwyspie lądu azyatyckiego, gdzie podziemne ognie nurtują a mroźne powietrze krew mrozi, upodobał sobie sobol skaliste, lasami pokryte dzikie ustronia, gdzie go jednak coraz bardziej wytępiają Koryacy nieoględnymi łowy. Podczas zajęcia Kamczatki kosztował tu jeden sobol rubla; dziś się płaci na miejscu 30–60 rubli, a za szczególnie piękne futerka płacą magnaci rosyjscy w Petersburgu do 170 rubli za sztukę.

Im bardziej przedmiot jakiś staje się rzeczą zbytku, tem też i subtelniejszemu podlega rozgatunkowywaniu, mającemu niby to usprawiedliwić śmiesznie wysokie ceny. Długość włosa, jego farba, połysk, miękkość, gęstość, lekkość, stanowią tutaj taką niezliczoną ilość kombinacyj, wpływających na cenę, taką moc najsubtelniejszych cech, ktore tylko oko wprawnego specyalisty odróżnić jest w stanie, iż możliwymi są tak różniące się ceny jednego i tego samego futra, zwłaszcza w obec tych, którzy za coś podobnego płacić chcą i mogą.

Ledwie trzysta lat minęło od wyprawy Jermaka, a już niemal na całem paśmie ogromnej Syberyi sobol zbliża się ku zupełnej zatracie. Już w początkach naszego wieku był on rzadkim w Syberyi środkowej, skąd najpiękniejsze jeszcze w zeszłem stuleciu pochodziły futra, a obecnie cofnął się pod wpływem bezustannego prześladowania w najgłębszą taigę Jenisejską (Dr. Jodłowski, Myśliwstwo w Syberyi), gdzie mu również spokoju nie daje tępa strzała „inorodcy" t. j. Tunguza, Ostyaka lub innego nomady.

Najwięcej soboli ukrywa się dziś jeszcze w lasach pomiędzy Leną a wschodnim przylądkiem Syberyi (Steller, Szczukin), niemniej w Kamczatce, gdzie jednak tępienie sobola bardzo szybko postępuje. Sam sposób nieracyonalny prowadzenia łowów, do jakiego zmuszeni są krajowcy, przyspiesza jeszcze bardziej wytępienie tego szlachetnego zwierza. Koczujące plemiona zaczynają tam łowy, gdy pierwszy w górach śnieg spadnie, zatem w czasie, gdy skórka sobola jeszcze nie jest piękną. W końcu stycznia odbiera rząd od Kamczadalów zwykłą daninę w skórach, t. j. w czasie, gdy sukienka sobola jest najcenniejszą; nie mogą zatem krajowcy dostarczyć na czas żądany jak tylko lichych skórek, a wykonują dalej łowy wszelkimi możliwymi sposobami aż do marca, lub i dłużej, póki tylko biała stopa śledzić dozwala i kiedy futerko sobola już jest bez wartości, a niszcząc przytem brzemienne samice i wyłowieniem starych o śmierć głodową płód przyprawiają. (Łowy w Rosyi północnej „Łowiec" 1882 str. 186). Nadzwyczaj niskie ceny skórek sobolowych w Kamczatce, o jakich wspomina powołana relacya, wskazują, iż jest to lichota. W r. 1877 miano tam sprzedać 225 soboli po 30 kopiejek za sztukę. Jeżeli tak barbarzyńska i nierozumna eksploatacya potrwa dalej, nie długo już trzeba będzie czekać na zatratę tego gatunku nawet w niedawnem jeszcze sobolowem eldorado.

Naród nasz, złączony niejednem cierpieniem i wspomnieniem z Syberyą, posiada i posiadać może lepsze i prawdziwsze o przyrodzie tych krajów wiadomości, niż narody wschodniej Europy, znające północną Azyę li tylko z nieczęstych relacyj wypraw naukowych, które w pospiechu, nie mogąc wniknąć gruntownie w stosunki przyrody tego nie tak łatwo dającego się zbadać kraju, podają częstokroć opisy, nie licujące z rzeczywistym stanem rzeczy. Specyalnie co do łowów sobolowych albo rzecz ogólnikami zbywają owi podróżnicy, albo powtarzają to, o czem inni także niedokładnie wiedzieli. Chcąc coś pewnego wiedzieć o rzeczywistym zwierzostanie tak skryte życie pędzącego sobola, nie dosyć jest być uczonym i przebiedz wzdłuż i wszerz jego ojczyznę, trzeba tam długie przepędzić lata, wżyć się w stosunki przyrodnicze i ekonomiczne kraju tak, jak do tego zmuszeni byli nieraz

nasi ziomkowie, będący częstokroć nawet uczestnikami uciążliwych i niebezpiecznych tych łowów, a w dodatku spoglądać nieuprzedzonem i inteligentnem okiem na całość.

Bardzo liczne relacye i opisy Syberyi i Kamczatki, kreślone ręką naszych rodaków, z rozmaitych stron i zaułków tych ogromnych krajów, opisy dotykające częstokroć szczegółów, ku którym zwrócić się może li tylko uwaga długoletniego badacza, daćby mogły razem wzięte tak wspaniały obraz Syberyi pod względem przyrodniczym, etnograficznym i ekonomicznym, iż zbiorowe takie dzieło stanowiłoby pomnik w literaturze.

Otóż czerpiąc wiadomości o stanie soboli w północnej Azyi przeważnie z podań naszych rodaków, przyszedłem do wyniku, że sobol jest w ogólności na drodze do zatraty, która tem rychlej nastąpić musi, im bardziej cena tego futra z każdym dniem się podnosi, a łowiectwo sobolowe, ogarnąwszy ogromne, dotychczas słabo eksploatowane obszary, z gorączkową skwapliwością wyzyskać się stara korzystne konjunktury.

Po tem szkicowem streszczeniu historyi sobola na bezmiernym obszarze Rosyi azyatyckiej, pojąć się da łatwiej tajemnicze zniknięcie sobola na stosunkowo małym obszarze ziem naszych, gdy gust i moda stały się powodem forsownego tępienia tego zwierza, który przecież, jak to prawnicze świadczą dokumenta, jeszcze w 16-ym wieku, przynajmniej w północnych dzielnicach Rzeczypospolitej, do krajowych zwierząt należał.

Statut litewski, we wszystkich swych edycyach, wspomina najwyraźniej o sobolu i cenę jego jako zwierza łownego stanowi (w rozdz. XIII. a względnie X. art. II.), a jeżeli wspominają dzieje o białym sobolu, którego złapać miano koło Knyszyna za czasów Zygmunta Starego, to wspominają jako o *curiosum* przyrodniczem, nie podają jednak wcale, ile tam podówczas łapano soboli barwy zwykłej, bo te nie zwracały niczyjej uwagi jako zwierzęta fauny krajowej, które mieszkaniec puszczy za pomocą rozmaitego rodzaju pułapek wyławiał. O łowach takich, jak to z własnego mogę powiedzieć doświadczenia, i najbliższy sąsiad nic nie wie; niepokaźna zdobycz wędruje tą drogą tajemniczą, jaką idą wszystkie skórki zwierząt krajowych, i wreszcie wypływa po jakimś czasie na widownię na jakimś wielkim targu zagranicznym, przeszedłszy wiele rąk pośrednich, którym się dostaje lwia cząstka z tej pierwotnie ciężką nieraz mozołą okupionej zdobyczy łowieckiej.

Podobnie jak w naszych czasach chyba tylko jakieś specyalne czasopismo doniesie o zabiciu n. p. gronostaja z czarnym ogonkiem, pomimo, że i ten zwykły gronostaj już do niezwykłej fauny krajowej należy, tak też nie przeszło do naszej wiadomości nic zgoła o dawniejszych łowach na rzadkie już w kraju sobole. Lecz zjawienie się gdziekolwiek gronostaja z białym ogonem a czarną n. p. głową, znalazłoby z pewnością miejsce we wszystkich czasopismach, w dziełach przyrodniczych i uwieczniłby się ten wyrodek gronostajowy, tak, jak się uwiecznił biały sobol knyszyński, a zaginął w niepamięci brunatny jego pobratymca i skonał nie wiedzieć kiedy w stępicy jakiegoś puszczy osiedleńca.

Najdawniejszy nasz autor myśliwski, Tomasz Bielawski, w wydanym jeszcze w r. 1595 dziele „Myśliwiec“, przypisanem Janowi Sokołowskiemu w Bystrzcu, przekazał nam kilka cech charakterystycznych łowiectwa spółczesnego, jednak nie ma tam niczego o sobolu i o jego łowach; natomiast dowiedzieć się tam możemy o skórze z krokodyla, którą autor w Łowiczu oglądał i za co szeląg zapłacił, o gęsi dzikiej, która według zapewnienia autora 300 lat żyje itp.

Prawdopodobnie iż sobol nieznanym był nawet myśliwym co do swej przyrody i sposobu życia, skoro naturalista Rzączyński w swem w r. 1721 wydanem dziele (str. 318) utrzymuje, iż sobol rybami się żywi.

W dziele W. Kurowskiego „Myśliwstwo w Polsce i Litwie“, wydanem w r. 1855, sobol jako zwierze jeszcze nasze „w litewskich lasach znajdujące się“, do myśliwstwa „niższego rzędu“ jest zaliczonym. Zarazem podaje autor sposób łowów na niego, a to za pomocą tępych strzał, którymi strzelcy starają się go w nos trafiać“, przezco futerko nienaruszonem zostaje. Autor widocznie słyszał coś o łowach strzałami z gałkami na końcu, jakimi jeszcze po dziś dzień plemiona nomadów syberyjskich sobole ubijają. Sposobu tego trudnego używają prawdopodobnie dlatego, bo nie zawsze zwierz ten ostrożny da się ująć w żelazko, a powtóre, iż inne drapieżce psują częstokroć ułowionego już sobola.

Choć nie zgadza się z prawdą twierdzenie Kurowskiego, jakoby sobol znajdował się jeszcze obecnie w lasach litewskich, to już samo to twierdzenie, niemniej umieszczenie go w rzędzie zwierząt krajowych wskazuje, jak żywe o sobolu są jeszcze u nas tradycye, i że ostateczną jego zatratę pod wpływem niezmordowanego prześladowania do ostatnich należy odnieść czasów. Pozostaną po nim na wieki w pieśni gminnej wspomnienia, pozostanie dziewczyna „o oczkach sokołowych a brwiach sobolowych“, a aby nie było krzywdy i drugiej brzydszej połowie rodzaju ludzkiego, zawodzić będzie dziuba w późnych pokoleniach: „Aj, ty Kozacze, ty luby sobolu“.

(Ciąg dalszy nast.)

TOMASZEK.

Niejeden to mówił, a ja powtórzę: „Można być miłośnikiem polowań, dobrym strzelcem i nie być myśliwym, a można być złym strzelcem a dobrym myśliwym“. Mówił tak i mój stary Tomaszek, by zaś nadać temu lepszą cechę, z wyrazem stanowczości dodawał: „Myśliwi się rodzą a nie robią“.

Stary mój Tomaszek, którego chcę tu odszkicować, należał do złych strzelców a dobrych myśliwych.

Na imię było mu Tomasz, nazwisko Baraniecki. Kreaturka nie o wiele większa od całego metra. Suchy, kościsty korpus, osadzony na stosunkowo dość długich nogach, z głową i twarzą małą o czarnej cerze, w której migotało dwoje ruchliwych, czarnych i małych jak tarnina oczu. Głowę i twarz okalał jeden nieprzerwany wianek czarnych, pomimo podeszłego już wieku nigdy nie siwiejących włosów, łączący włosy głowy z zarostem na twarzy.

Fryzurę tę utrzymywał Tomaszek starannie, strzygąc zarost do pewnej długości wzdłuż twarzy wąskim paskiem po pod brodę aż do włosów na głowie i zabawnie w niej wyglądał, zwłaszcza z odkrytą głową. Dziwną całość tworzyła ta figurka, mimo to bardzo była sympatyczną; a poznawszy bliżej Tomaszka, trzeba go było polubić.

Tomaszek miał swoje odrębne zwyczaje i zapatrywania, ale nieszkodzące nikomu. Myśliwy w całem tego słowa znaczeniu, jakich mało. Wiedział on codziennie gdzie są sarny, gdzie lis, gdzie zając, a nawet ile sztuk. Wiedział, kiedy zając w polu, a kiedy w lesie, gdzie go szukać, czy na stokach od południa, czy od północy. Wszystko to przepowiadał z zastanawiającą pewnością i nigdy się nie mylił. Niezwykle małymi, biegającymi wciąż czarnymi oczyma przenikał każdy krzaczek, każdy komysz, upatrzył nietylko każdego zająca, ale nawet słonkę. Ileż to razy pokazywał mi w krzakach o kilkanaście kroków siedzącą słonkę, a mimo to rzadko kiedy ją zobaczyłem. Ileż to razy obserwowałem go, jak idąc, zdawał się patrzeć gdzieś dalek na lewo, a z pod nóg, albo z prawej strony, podnosił orzech, kamyczek, lub inną jaką drobnostkę, która nie uszła jego wzroku. To też powtarzam, co nieraz mówiłem, że Tomaszek miał instrumenta a nie oczy.

Strzelał bardzo źle, a co dziwniejsza, nie robiło mu to przyjemności; stanowczo twierdzę, nie lubił strzelać — i jedynie dlatego w sztuce tej nie doprowadził do mistrzowstwa.

Nie lubię gajowego ze strzelbą, bo nie chcę mu nastręczać pokusy do złego; o Tomaszka jednak byłem spokojnym. Nieraz miałem sposobność niespostrzeżony obserwować Tomaszka, jak się przypatrywał sarnom, albo o kilka kroków siedzącemu zającowi i nigdy go nie wyruszył; czasem tylko półgłosem ozwał się do niego a, a, a, i nakiwał palcem.

Codziennie miał do zaanonsowania siedzące w miejscach zające, nie pytany jednak o to, nigdy sam się nie odezwał, gdyż widocznie zdawało mu się, że nie wypada zdradzać komyszy ufającego mu zwierza.

Zabobonny był bardzo, miał tysiące tajników, w które wierzył święcie. Znachor w sztuce lekarskiej, znał i miał pełno ziół, których używał nietylko przeciw wszelkim słabościom i skaleczeniom, ale nawet jako najpewniej działające remedyum przeciw wszelkim zmartwieniom. Mawiał po zażyciu:

— Ot, radniej się człowiekowi robi, taj go zgryzota odchodzi.

Nie dziwiłem się staruchowi! Wszak „wierzcie, a wiara was uzdrowi".

Jako lekarz albo znachor nie narzucał się stary Tomaszek nikomu, we wsi prawie nigdy nie bywał, ale jeżeli się kto do niego o radę udawał, nikomu nie odmówił. Nawet wybierał numera na loteryę, chociaż sam nigdy nie grał, a w sztuce tej trzymał się takiej zasady, że jak wielki mróz albo upał, stawiać wyższe numera, a jak odwilż lub chłód w lecie, to niższe.

Czynny, ruchliwy, niezmordowany, kochał las, nim żył, w nim dzień i noc prawie przepędzał, szukając ulgi w kłopotach, jakich mimo swej maluczkości miał nie mało. Chodził zawsze z podrutowaną strzelbiną, ale zawsze wzorowo czystą, którejby był za nic w świecie nie oddał, i z również starą, ulubioną fajeczką, wreszcie z torbą z borsuczej skóry, w której była garść niezbędnego tytoniu, nóż z krzesiwkiem, kawał czyru i hubki, kilka gwoździ różnej długości, a od czasu do czasu kawałek chleba, szydło, igła, nici szare i czarne, i kawałki szmatek. Porządek lubił bardzo, ubrany był ubogo, ale nigdy dziurki w jego ubraniu nie dostrzegłem. Od tego była igła, nici i szmatki w torbie; kiedy rozdarł ubranie, siadał pod drzewem i łatał niezwłocznie.

Każdą strzelbę umiał do ostatniej śrubki rozebrać, złożyć i wyczyścić prawdziwie po mistrzowsku. Po takiem wyczyszczeniu, nigdzie plamki, rysy ani najmniejszej skazy dopatrzyć nie było można; to też do tej operacyi powierzałem chętnie Tomaszkowi moją strzelbę. Często, oddając mi strzelbę czystą, mawiał Tomaszek:

— To bardzo dobra rusznica, ale trzeba by ją już zaostrzyć.

Pytam go, co to znaczy, zbył mnie jednak mówiąc:

— Ej, na wszystko są sposoby, kiedyś przyjdzie czas, to i to się zrobi.

Obawiałem się złych następstw, więc mówię:

— Bójcie się Boga Tomaszku, ażebyście jakim pilnikiem nie postrugali mi strzelby!

Wstrząsł się stary i zatrzepał rękami.

— A niechże Bóg uchowa od czegoś podobnego! A gdzieżbym był taki głupi!

Pewnego razu przynosi mi Tomaszek wyczyszczoną strzelbę i oddając mówi z widoczną radością:

— Już prawka zaostrzona!

Zadrżałem. Chwytam za strzelbę, patrzę w lufy: lewa czysta, a prawka wewnątrz nieco zadymiona. Nie widząc żadnych śladów pilnika lub innego ostrego narzędzia, pytam:

— Cóż wy zrobili Tomaszku?

— Ot, zrobiło się co potrzeba, będą pan widzieli, jak ona teraz będzie biła. Jeszcze trzeba i lewce to zrobić, ale będzie czas i na to.

Nie pomogły nastawania moje; Tomaszek tajemnicy zaostrzania wyjawić nie chciał.

Niebawem powtórzyła się ta sama scena. Tomaszek przyniósł strzelbę oświadczając z równą radością, że i lewka zaostrzona, lecz i teraz sztuka zaostrzania została jego tajemnicą.

Co roku w lecie zaostrzał Tomaszek moją strzelbę, ale sekretu nie wyjawił. Widząc, że proceder ten strzelby nie uszkadza, sam pewnego razu, podając mu strzelbę do czyszczenia, rzekłem:

— Tomaszku, trzeba by moją strzelbę zaostrzyć, bo już coś miękko bije.

— A widzi pan! — zawołał Tomaszek wysoce uradowany — Oj, niedaremnie Tomasz się postarzał, kalekując tyle lat po świecie Bożym! Oj, i dyabeł mądry, bo stary.

Trafiłem Tomaszkowi do przekonania, uradował się bardzo, że uwierzyłem w jego sztukę ostrzenia strzelby — nie pomogło to jednak do wyznania sekretu, a słowy „przyjdzie i nato czas" zbył mnie i tym razem.

Drugiego dnia przyniósł strzelbę, ale nie zaostrzoną, i dopiero w jakiś czas oświadczył, że prawka już zaostrzona.

Wkrótce potem daje mi znać Tomaszek, że odkrył gniazdo jastrzębia gołębiarza. Udałem się z nim, by jastrzębia zabić. Gniazdo było na wierzchołku wysokiego buka. Przygotowałem się do strzału — Tomaszek uderzył parę razy laską o buka, jastrząb wzleciał, strzeliłem — i padł na miejscu.

— Ależ padł jak szmata — rzekł Tomaszek.

— Bo strzelba ostro wali — rzekłem. — Przecież wy Tomaszku musicie mnie powiedzieć, jak to się strzelba ostrzy.

— Na wszystko będzie czas — odrzekł Tomaszek — ot, żeby tylko był tłusty—dodał podnosząc jastrzębia z ziemi.— Ani zipnął, a tłusty złodziej, to dobrze, to bardzo rzecz potrzebna.

Przyszło mi na myśl, czy Tomaszek właśnie tego tłuszczu do ostrzenia strzelby nie używa, siadam tedy na ziemi i mówię.

— A to wy pewnie tym tłuszczem ostrzycie strzelby.

— Ej, gdzietam! tego smalcu ja używam, ale do czyszczenia strzelby; nic tak nie wydrze rdzy, jak smalec z tego ptaka, i to tylko z samicy, jak ta właśnie. Niech tylko przez noc postoi strzelba nasmarowana tym smalcem, a rano tylko się płatkiem obetrze i strzelba jak lustro czysta; ani znaku rdzy i dużo roboty niema, i po tym smalcu rdza strzelby nie łatwo się chwyta.

Lecz nadarmo Tomaszek zagadywał. Postanowiłem przypuścić szturm i bądź co bądź wydobyć z niego sekret ostrzenia strzelby.

— Słuchajcie Tomaszku — rzeknę — przecież wy tacy źli nie będziecie, ażebyście mnie nie nauczyli zaostrzać strzelbę! Przecieżbym się tego po was nie spodziewał!

Zdjął na te słowa Tomaszek czapkę, skłonił się nisko i rzekł:

— Coby to ja dla mego pana nie zrobił albo nie powiedział, ale ja ot tak, trzymałem do czasu.

Rzekłszy to starowina usiadł, pogładził ręką swój wianek i tak zaczął:

— Nie mówiłem panu, bo wiem, że pan ta w niejedno nie wierzy, taj śmiać się lubi. Ta ja się temu nie dziwię, bo świat się dziś z niejednego śmieje, ale jak już człowiek starszy, taj niejednego spraktykuje, to się potem dziwi, że nie wierzył. Na wszystko przychodzi czas, taj człowiek praktyczniejszy z latami. I ja to co wiem, wiem z siebie, nie nauczył mnie ni ojciec, ni matka, ale bieda, taj ludzie, taj lata. Oj, Boże, Boże! Człowiek, żeby nie wiem jak długo żył, to zawsze jeszcze ciemny umiera... Ot, śmieją się ze starego nieraz, a to w każdem stworzeniu boskiem jest tajemnica, wszystko Pan Bóg na jakąś potrzebę stworzył. Ot, czyby pan dali wiarę, że ta trawka (nachyliwszy się urwał zioło) mnie łońskiego roku od niechybnej śmierci uratowała. Wtenczas, jak to mnie szerszuny pokąsały. Ledwiem tu zaszedł, myślałem, że już będę ginął, bo tego ziela w całem lesie nie ma, tylko tu, ponad „czetwórną“. Jak tylkom tu się zawlókł, już wiedziałem, że będę żył. Natarłem sobie rękę i kark, taj zrobiło mi się zaraz lżej, a potem narwałem więcej, pokrajałem, zawiązałem w szmatynkę, skręciłem i wydusiłem do gęby soku kilka kropel — i zaraz mi się stało lżej. Wstałem i poszedłem, i nim doszedłem do budy, nic a nic mi nie wadziło, czułem się całkiem zdrów. Ej, Boże, Boże! Gdzieby to człowiek już był, żeby sobie nie umiał radzić... Tak i do strzelby jest sekret wielki a bardzo pomocny; jedna śrucinka niech trafi, tak wszystko pada jakby nie żyło. Ja panu dziś powiem, a kiedyś pokażę. Tylko to także są rzeczy takie, co nie każdemu powinno się mówić, bo to jeden wierzy a drugi nie, a to wychodzi na to, co człowiek potemu sam sobie nie poradzi, bo już nie skutkuje...

Tu Tomaszek urwał i spojrzał na mnie wzrokiem pytającym. Domyśliłem się o co chodzi i zapewniłem Tomaszka, że nikomu tego sekretu nie wyjawię.

Uspokojony Tomaszek tak prawił dalej:

— No, wiedzą pan, to nietylko pomaga, że strzelba ostro bije, ale z taką zaprawioną strzelbą jest wielkie spotkanie. Są u nas nieduże gadziny, ale bardzo jadowite; nie w każdem miejscu one się trzymają, u nas są tylko na wymulankach na „Mogiłkach“, zresztą ich nie ma nigdzie. Kiedyś, jak tamtędy pójdziemy, ja panu pokażę; raz tylko widzieć, to się ją zapamięta, taka jest znaczna. Ot-żeż zdybawszy gadzinę, przyciska się ją ladsztokiem za kark do ziemi, a drugą ręką podsuwa się strzelbę tak, ażeby pchnąć głowę gadziny do lufy; wtenczas ją się pomału puszcza, a ona wlezie w lufę. Potem podnosi się strzelbę do góry, potrząsa dobrze i ladsztokiem bije się tak mocno, żeby się z gadziny aż miazgi zrobiły; potrzyma ją się trochę w lufie i wypali w powietrze. Strzelba odrazu czysta, ale jad z gadziny wszystek w lufie zostanie. Jak się strzelba raz tak zaostrzy, to cały rok aż do nastania tych gadzin będzie ostro biła. To też co roku potrzeba na nowo ostrzyć.

Posądziłby kto może mego Tomaszka, że był starym gadułą. Wcale nie. Gdybym się wyraził o nim, że był „małomownym“, skąpiłbym w wyrazach, bo był milczącym do tego stopnia, że nieraz tylko znakami porozumiewał się i odpowiedzi dawał W większych zebraniach trzymał się zawsze na uboczu, nikt od niego słowa nie słyszał, nikt uśmiechu na jego twarzy nie widział. Mownym stawał się tylko w cztery oczy, gdy się go zagadnęło o dawnych czasach, polowaniach i lasach. Zaraz gestykulował rękami i głową, podniecając zanikły ferwor, a rozruszawszy uspioną maszynę, godzinami gawędził.

Jak już wspomniałem, Tomaszek miał i tę piękną zaletę, że miłował porządek. W chałupie, w której kącik zamieszkiwał, było czyściutko; codziennie umiał znaleźć na tyle czasu, by w swym kąciku zrobić porządek. Ściany tego kącika przyozdabiał stary obraz Najświętszej Panny karmiącej i krzyż z drzewa kłokuczki z korą dziwacznie pokręconą. Drzewu kłokuczki przypisywał Tomaszek siłę leczniczą w wielu słabościach — a ów krzyż miał siłę rozpędzania chmur gradowych i strzegł od błyskawicy. Ściana między obrazami a krzyżem udekorowaną była skrzydłami, ogonami i szponami różnych jastrzębi, które Tomaszek Bóg wie jak długo zbierał. Ze sprzętów domowych było drugie łóżko w formie tapczana, kufer zielono pomalowany, stół, dwa stołki i ławka, nareszcie niepotrzebny grat, nierówny wiekiem Tomaszkowi, bo o wiele młodszy, a za to dwa razy większy od niego, herod baba, połowica i drugi krzyż poczciwego Tomaszka. Zanadto ona dopiekała nieraz Tomaszkowi, bo choć z natury małomowny, puszczał się czasem na prelekcye, chcac z gruntu złą babę umoralizować. Lecz ta kilkoma słowy: „Kto tam na dole do mnie hauka“ zamykała Tomaszkowi gębę. W takich razach kiwał głową, brał strzelbę i torbę, i szedł do lasu skarżyć się bukom i szukać w ich cieniu ziela, które działa przeciw zgryzocie.

Poczciwy Tomaszek miewał różne psy po kolei, a każdego nazywał: „Biduś“. Były to ulubione pieski Tomaszka, które Bóg wie skąd dostawał. Następca zawsze był na modłę swego poprzednika, choć maścią niejednaki, ale kształtem i wielkością jota w jotę.

Poznawszy Tomaszka bliżej, polubiłem go bardzo. Lubiłem go słuchać, choć nieraz bajki opowiadał, bo też bajki są osnute zawsze na wątku rzeczywistości. Razu jednego idąc za nim przez las, zapytałem go:

— Czy Wy Tomaszku tutejsi?

— Ej, gdzie tam panie! ze świata, ze świata! het od Sanoka. Cygan, włóczęga, jak to mówił mój nieboszczyk pan, mój dobrodziej, opiekun, świeć Panie nad jego duszą, bo z pewnością już dawno nie żyje.

Usiedliśmy i zachęciłem Tomaszka, aby mi o sobie opowiadał, czy ma rodzinę, czy dawno mu ojciec umarł, a może jeszcze żyje?

Tomaszek odetchnął silniej kilka razy, rozruszał się i wreszcie tak zaczął prawić:

— Pan mnie pytają, czy mój ojciec dawno umarł? Ho, ho! Taż to i ja już nie dzisiejszy. Matki mojej nie pamiętam, odumarła mnie bardzo małym, a ojciec mój sługiwał furmanem i nie wiem skąd pochodził. Po śmierci matki ożenił się raz drugi, ale już niedługo żył. Pamiętam bardzo dobrze jak umarł, musiałem mieć natenczas ze 12 lat, bo już mogłem jako tako paść bydło. Po śmierci ojca wziął mnie tameczny leśniczy, mój pan, mój opiekun, mój dobrodziej — tu Tomaszek zdjął kapelusz z głowy i rzewnie westchnął — świeć Panie nad duszą jego, przebacz grzechy i daj duszy wieczne królowanie...

U tego leśniczego, nazywał on się Sadowski, pasłem bydło ze starszym od siebie chłopcem rok jeden, a później sam już pasłem. Tam my byli z dziesięć a może i więcej lat. Stamtąd przenieśliśmy się do Czernej. Ja byłem już koło koni. Mój pan był nie młody już, nie łysy, ale całkiem siwy. Gospodarstwo w domu prowadziła jego ciotka, bardzo już stara kobieta; niedługo żyła, jakoś drugiego roku umarła. Wtenczas całe gospodarstwo domowe spadło na mnie. W kilka lat zrobił mnie mój pan gajowym i osadził na chałupie blisko leśniczówki. Nieraz mnie gadał: ożeń się Tomaszu, może ci będzie lepiej, ale ja się nie kwapił, odpowiedziałem memu panu: albo to mnie tak źle? No i było mi dobrze. Pensya, choć nie wielka, zawsze mnie doszła, a pożywiłem się zawsze na leśniczówce, bo człowiek lasowy nie wiele potrzebuje, powietrzem żyje, a chleba nie wiele zepsuje. Pan mi niczego nie żałował, u mnie były klucze od wszystkiego, com chciał mogłem był używać, a ubrania małom co sprawiał, bo co roku jakąś starzyznę pan na mnie narzucił. Bardzo też mnie pan lubił, ale bo i ja mu był wierny. Psym doglądnął, strzelbym poczyścił i w pokoju posprzątał, nikt mu tak tego nie zrobił jak ja. Gospodarstwa doglądnąłem także, bo co prawda nie lubił się tem zajmować i nigdy nie wiedział, co się w domu dzieje. U niego był tylko las i polowanie. Ale co myśliwy, to był bardzo zapalczywy. Psów miał trzydzieści albo więcej, samych gończych i jamników, no i jeden legawy, w pokoju kilka strzelb, pałaszy i dwie duże szafy z książkami. To było jego gospodarstwo, w tem on się tylko lubował. Prawda, że pieniędzy nie miał, bo wszystko z pola taj z domu szło za psami, i to jeszcze nie stawało. Nieraz panowie prosili na polowanie, nieraz bywało zabierze pan całą furę psów albo i dwie, a jak pojedzie światami, to go nie ma taj nie ma; często i ja jechałem, ale nie zawsze można było obydwum domu odjechać. Prawda, że po takich polowaniach nieraz panowie przysyłali całą furę owsa, ale co to znaczyło! Zmełło się na osypkę i ani się oglądnął, już psy wszystko zjadły. Strzelby miał bardzo dowodne, a strzelał tak, że nikt lepiej nie potrafi. Dużom widział dobrych strzałów, żem się dziwował, ale jeden taki, że jak długo żyć będę, to nie zapomnę.

Było to w niedzielę rano, późnej jesieni, ale ciepło było jeszcze. Mówi pan do mnie: „Weź Tomaszu Cygankę i przeszłoroczne jej młode, ładne pole, wilgotno, pójdziemy trochę do lasu, trzeba zaprawić młode psy, stara suka ich poprowadzi.“ Pamiętam, jak dziś, stara nazywała się Cyganka, bo prócz brodawek żółtych nad oczyma, cała była jak kruk czarna, bardzo ładna, dowodna suka, jakiej nie ma, i pan ją bardzo lubił. Miała już kilka lat, ale tylko dwa razy rzuciła szczenięta: dwie suki i dwa psy; wszystkie czworo kazał pan chować. Suki nazywały się Drużka i Drymba, a psy Durej i Dejdesz. Zabrał ja psy na swory, taj idziemy. Pan wziął z sobą krótką strzelbę — cała, het, nie wiem czy miała półtora łokcia — pan ją nazywał „kiruczka“, ale za to lufy jak harmaty, prochu się sypało do niej całą garść i tyle śrutu. Z tą strzelbą pan zawsze w lesie polował i mówił, że długa strzelba zawadza w lesie.

Idziemy na przełaj przez pastwisko do lasu, taj pan mówią do mnie: „Zajdź Tomaszu od Czarnego szlaku i podłóż psy; tam w tych rumowinach musi być zając, a ja strzelę od pastwiska“. Poszedłem z psami i podłożyłem. Cyganka trafiła zaraz zająca, bo ona go tam dobrze znała, a jak się tylko ogłosiła, już psy koło niej wszystkie. Jak zagrały, aż się dusza raduje, takie to głosy dobrane, że niech się nie wiem jaka muzyka schowa. Myślę, nie trzeba ich rozrywać, bo się głosy składają. Poszły psy z zającem, ale niezadługo obróciły go do miejsca. Zając wypadł na pastwisko i prowadzi psy do drugiego lasu, słuchy położył po sobie i koci się jak kula. Psy wypadły już z lasu, taj za nim, a ja myślę sobie: no, no, nie wrócicie wy jego już stamtąd, nie pierwszyna jemu to!... Wtem buch! pan strzelił. Widzę, że zając się przewrócił, wybiegam na pastwisko, a pan już także szedł, ale że mnie było bliżej, woła do mnie: „Weź zająca Tomaszu!“ Biegnę co mogę, ale cóż? — nim ja dobiegł, już z zająca znaku nie było, psy go zjadły, tylko się oblizywały. Z myśli mi nie może wyjść, co to był za strzał, nie wiem nawet, co się panu stało, że tak daleko strzelali. Połapałem psy, taj więcej nie polowaliśmy, a pan nie mogli się nadziwić, jakim sposobem zając ten upadł.

Czasem pan jeździli to tu, to tam, na zabawę między panów. Niedaleko od nas za lasem był folwark. Był tam pan już niemłody, równy wiekiem memu panu. Pan mój często tam przebywał, ale nikomu przez myśl nic złego nie przeszło. Aż razu jednego mówi pan do mnie: „Wiesz Tomaszu co, ja się żenię“. Wypatrzyłem się na pana, myślałem co żartuje, bo cóż, panu i żartować wolno. Taj mówię na to: „Ha, niech Pan Bóg da szczęście“. Ale nie powtarzam tego nikomu, zawsze myślę, że to żarty. Aż tu słyszę na drugą niedzielę — buch! — ksiądz zapowiedzi głosi. Na folwarku tym była panna, ani to młoda, ani ładna, sucha jak dranica, no i ta pana jakoś tak zmaniła, że się ożenił.

Ta cóż robić? Odbyliśmy wesele, sprowadzili panią do domu, ale nie było z tego dobra. Rok nie minął, a już w domu jak w piekle, taj coraz gorzej, taj gorzej. Oj, Boże, Boże, jak sobie wspomnę, co to obrazy bożej, co za nieszczęście w tym domu zapanowało! Nieraz pan mój siada do stołu, albo mu żona da zjeść? Gdzie tam! Jak zacznie zrzędzić, jak zacznie, taj nie skończy. Wreszcie mój pan rzuci talerzami do ziemi, za strzelbę, taj poszedł do lasu

Ot, i nie było dobra, a co prawda, wszystko przez psy. Ale trudna rada, przez tyle lat zamiłowany w psach, żeby się mógł od razu ich wyrzec.

Raz, pamiętam, było to na Wielkanoc. Jak zawsze, gdzie pani jest w domu, napiekli i nastawili pełne stoły. Zjechało się do nas dużo gości, bo pan miał znajomych po całym świecie, a ze strony pani także się pozjeżdżali. Po śniadaniu, dzień był bardzo ładny, poszli wszyscy państwo do lasu. Bóg tam wiedział, że drzwi za sobą nie zaparli. Ja się kręcił po dziedzińcu, po stajni. W jakiś czas patrzę, coś Hałaj z Czabanem drą między sobą; patrzę bliżej, a to koć ze szynki. Myślę sobie: no, no, dobrze jedli, na śniadanie całą szynkę, nie daj Boże, żeby to wszystko bawiło się ze dwa dni! A wtem słyszę stukot w pokoju, patrzę — drzwi otwarte — biegnę do pokoju, ażem struchlał, jak po wojnie, pełno psów, ogonami wymachują, a na stołach ani krzynki chleba, półmiski, talerze pobite... Ojej! Będzie tu teraz, będzie! Powyganiałem psy, ale mi tak niemiło, że nie wiem co ze sobą zrobić, choć ja wcale temu nie winien. Zeszli się państwo, a wszystko takie kontentne, nabawili się

w lesie, taj znowuby jedli. Myślę sobie: A na czarną godzinę, trzeba to się było ciągać po lesie? Najedliście się, to trza było jechać w swoją drogę, a przynajmniej siedzieć na miejscu. Jak weszli do pokoju, wszystko pogłupiało, tak się tylko jedno na drugie spogląda, cicho, jak makiem siał — ale niedługo tego było, bo już przy gościach zaczęło się narzekanie, a jak się rozjechali, Sodoma i Gomora w domu... Niechaj Bóg broni od takich świąt każdego grzesznika.

Ale co to mówić, to nie psy, jeno dopust boży. Bo proszę pana, tyle lat psy były, i choć gończaki mają to do siebie, że im lepszy pies, tem większy psotnik, przecież w domu takiej herezyi nigdy przedtem się nie dopuszczały. Bywało, nakarmi się psy, taj to leży spokojnie. Była i psiarnia zbudowana, ale się tam wszystkie nie mieściły, to bywało, wykradały się do lasu same i trzeba było wiązać. Gdzieś czasem zrobiły szkodę, trafiło się, że nastawiony rosół, a psy wpadły i z gorącego ukropu mięso powyciągały, albo, bywało, jak się zając piekł, to taki nie odstępuj, bo go musiały zjeść. I trzeba było tylko patrzeć, ażeby się który z poparzenia nie wściekł, ale dziękować Bogu, nigdy tego wypadku nie było. Co prawda, to prawda, było czasem szkody, ale jak się już, świeć Panie nad jego duszą, pan mój ożenił, to trudno było wytrzymać. Psy z łańcuchów, choćby nie wiem jak uwiązane, spuszczały się i zaraz buch po wszystkich kątach, a tyle herezyi ponarabiały, że aż strach! Prawda, co pan takoj nieco winni byli, bo jak źle, to trzeba kobiety unikać, a on miał taki zwyczaj, że jak psy szkody narobiły i powstał harmider, to pan zaraz mówił: „Psy gospodyń uczą porządku“ — a pani strasznie tego słuchać nie lubiła. Dużo on nigdy nie mówił, ale niechby i z tem dał był spokój. Jeno że prawda kłuła w oczy, a pan nie mógł wytrzymać i nieraz już na progu się odwróci i swoje powie.

Ot, i tak trzymałem się u mego pana długie lata, aż razu jednego przychodzi do mnie i mówi: „Wiesz co, Tomaszu, ja stąd odchodzę, ale co z tobą będzie?“ Tak mi się markotno zrobiło, raz, że pan odchodzi, a znowu poznałem, że nie patrzy na to, żeby i mnie wziął ze sobą. Zadumałem się nad tem, coby to mogło być, bo wiem, że na moim panu nie było żadnej zmazy, a przecież zaszło coś ważnego. Pytam tedy, dlaczego pan odchodzą, a pan na to: „Żydom sprzedali las, żydzi tu gospodarować będą, to mnie tu już nie potrzeba“. Powiadam ja, że i tak możnaby w lesie zostać, ale pan tak mówi do mnie: „Jaki ty głupi, Tomaszu! Komu tam z góry przeznaczono być cyganem, włóczęgą, to niech domu nie buduje. Ja i tak jestem tu długo, bój się Boga, 16 lat, oj, zapomniał Pan Bóg o swoim cyganie“. W kilka dni przyjechali żydzi oglądać las, a pan na gwałt zabiera się i nie ma co gadać. Psy porozdawał, porozsyłał światami, zostawił sobie czworo gończych od Cyganki, dwa jamniki, Mrówcię i Chrapa i legawca Neptuna, a do mnie mówi: „Cygankę starą weź, Tomaszu, do siebie, ja kiedyś przyszlę po ciebie i po nią“.

Do dni czternastu już ani znaku nie było po moim panu; pani została na folwarku, a pan, jak mi mówiono, pojechał aż poza Lwów. I tak mi tęskno było, żem się utrzymać nie mógł; jeszcze ta jedna suka że mnie trzymała. Inne psy ciągle przychodziły o kilka mil, ale zawsze przysyłali za nimi i zabierali nazad.

W kilka tygodni nastał drugi leśniczy na miejscu mojego pana, bardzo nieprzyjemny człowiek, Czech czy Niemiec, czy jaka bieda, dość, nie nasza wiara, aż zimno od niego wiało. Jak mój pan kochał psy, tak ten zawłoka na oczy ich nie znosił, a tu kłopot, bo ciągle się jakiś pies zjawi. Dwa zastrzelił: Neczyma i Rwacza, bardzo dowodne psy, a kilka przechowałem, taj zawsze ktoś się zgłosił i zabrał.

Każde słowo ten zawłoka tak przekręcał, że trudno było go zrozumieć. Psy nazywał „braki“. Razu jednego idzie koło mojej chaty, taj zobaczył Cygankę. Jak narobi krzyku, a wszystko „brak“, „brak!“, zrozumiałem tyle, że jutro każe mi sukę zastrzelić. Myślę sobie: „Ta żebyś ty zawłoko powiedział, że mnie zastrzelisz, to jeszczebym suki nie zabił. Ty nazywasz to braki, oj nieboże, to nie braki, to czelne nasienie, wybrane, wykochane, to ciebie gdzieś za morzem przebrakowali, taj aż tu oparłeś się, ta żeby ci choć język byli poderznęli!“

Jakoś trzeciego dnia idzie on znowu koło mojej chaty. Jak zobaczył Cygankę, dalej wykrzykiwać, choć była przywiązana, a potem strzelbę z plec, taj buch! i połamał tylne nogi biednej suce.

Przystąpiłem do biednej Cyganki, nie ma ratunku — obie nogi na prach posiekane... Co było robić, trudno było na te męki się patrzyć... Poszedłem do chałupy, wziąłem ot tę samę rusznicę, wyszedłem, przeżegnałem się, i odpuść panie grzechy, strzeliłem suce w głowę, niech się nie męczy. Było takie miejsce w lesie, że bywało, jak poprzywozi pan mój z polowania na dziki psy pofałatane, a który się nie wyliże i zdechnie, to ranne się tam grzebało. Wziąłem więc biedną Cygankę w worek, taj pochowałem ją tam także.

Wróciłem do domu, ale mi było bardzo markotno, a że od pana nie było nijakiej wiadomości, więc postanowiłem porzucić Niemca przywłokę i pójść samemu szukać pana po świecie. Myślałem sobie, że gdzie jest, to zawsze mnie kawałka chleba nie pożałuje, a więcej mi nie potrzeba. A jakbym go odszukał potrzebnego, to mam piękny grosz, i wszystko chętnie mu oddam, boć to taki nie moje pieniądze, tylko jego, przy nim ja się tego grosza dorobił. Nie długo się tedy namyślałem, sprzedałem co nie było potrzebne, wziąłem kilkoro bielizny, rozebrałem tę samą strzelbę co mam teraz, zawinąłem w bieliznę, taj poszedłem w świat.

Ciągałem się tak po bożym świecie prawie cztery lata, sługiwałem to tu, to tam, ale nigdzie utrzymać się nie mogłem, bo do lasu nigdzie służba się nie trafiała. Pana mego nigdzie też odszukać nie mogłem. Com się napytał, ani jedna dusza się nie znalazła, ażeby mi choć coś przepowiedziała o nim. Dostałem się wreszcie i poza Lwów, a ciąglem się błąkał, aż mnie strach i nudy brały, aż nakoniec zaszedłem do Żornisk i tu dostałem służbę przy lesie u pana Dra Mileretа. Pierwsze to było miejsce, w którem jakoś radniej mi się wydało. I pan do mego podobny, i psy są gończe, więc jakoś się tam obyłem. Zaczęli już wtedy na około po niemiecku, z nagonką polować, ale pan doktor, a drugi pan Terlikowski z Zielowa taki psów nie porzucali. Czy nasze psy poszły do Zielowa czy zielowskie do nas, ani naszym tam ani tamtejszym tu, broń Boże, nie przeczyli. Nieszczęście było tylko z Janowem; tam nam psy łapali, a do pana pisali taj pisali. Ale pan doktor nic sobie z tego nie robił. Bywało, jak dostanie taki list, to nim rzuci o ziemię, podepcze, podepcze, każe mi brać psy na sfory, sam strzelbę na ramię, taj idziemy na polowanie i to na samą granicę Janowską. Co wypadło, sarna czy cap, blisko czy daleko, to on wszystko buch! Zabił czy nie zabił, ale strzelał i mnie strzelać kazał, żeby aż w Janowie słyszeli. Przepadło nam kilkoro psów, ale cóż, trudno było dojść, co się z nimi stało. Pan doktor ciągle mi kazał śledzić, pytać i dojść koniecznie, czy to nie w Janowskich lasach pobili, alem nic nie mógł wyszpiegować.

Razu jednego poszliśmy raniutko po rosie z dwoma psami. Tylkom podłożył, trafiły psy na sarny, pogoniły kawałeczek, słyszę „buch!“ — taj psy ucięły. Przychodzę, pan zabił capa i mówi: „Gdzieś dyabli wynieśli go tak zaraz! Cóż będziemy robili Tomaszu? Więcej nam zwierzyny nie trzeba, a jeszcze się psów nie nasłuchałem, a tu ranek taki śliczny. Powiesiłem capa na sośnie, pan postał trochę, taj mów i „Chodźmy het, od błót, tam puścisz trochę psy niech zagrają, ale strzelać nie trzeba“.

Tylko puściłem psy, zaraz trafiły na sarny, obróciły raz i poszły przez błota w Zielowskie lasy. Siedzimy i słuchamy, pan ciągle skubie czernice i już sobie gębę całkiem na czarno pomalował, a psy nasze grają, aż się dusza raduje, bo z daleka to jeszcze ładniej się wydaje. Nareszcie wracają psy nazad przez błota, prosto na nas; ja się patrzę, i mówię do pana: „Aż to śliczny rogacz!“. A pan zobaczył go już także na grubym lesie, taj mówi: „Ogromne rogi, ale nie trzeba strzelać“. Cap przystanął, psy poprawiły i cap pomknął wprost na nas, tak na 30 kroków. Wtem pan jak siedział, łap za strzelbę i „buch!“ do capa. Oj źle, złamał mu tylną nogę. Poszedł cap, psy za nim, słuchamy czy go gdzie nie złapią — gdzietam! poszły wprost w Janowskie lasy. Pochodziliśmy, pochodzili, gorąco się zrobiło, i pan mówią do mnie: „Ja idę do domu i wyszlę po capa — a ty Tomaszu pozbieraj psy, musiały pewnie złapać capa, lecz trudno żebyś go znalazł; skoro psy same nadejdą, to połapiesz“.

Chodzę po lesie, czekam, a psy nam połapał gajowy w lasach janowskich taj poprowadził do Janowa, gdzie był akurat pan namiestnik, ekscelencya Gołuchowski, pan hrabia. Gajowy myślał, że niewiedzieć jaką nagrodę za złapanie psów dostanie, i jak tylko przyprowadził psy, idzie wprost na „filwarteryę“. Byli tam i wszyscy panowie z lasu, zaczął więc meldować. Ekscelencya pan hrabia zasłyszał, taj pyta: „Co to takiego?“ a panowie wzięli zaraz opowiadać, że psy takie szkody w lesie robią, taj że pan Mileret ciągle psy zapuszcza w lasy, i rozpędzają sarny, że nie można sobie dać rady. Ekscelencya pan hrabia wszystko wysłuchał, taj mówi: „Ej, bajki, bajki! Dziś psy wypędzą, a jutro nazad przypędzą, albo sarny same wrócą. Zresztą to rzecz sąsiedzka, niech Bóg broni psy strzelać albo łapać! Pan Mileret ma w tem wielką przyjemność, on dla mięsa nie poluje, trzeba stosunki sąsiedzkie szanować. To ty połapałeś psy?“ Gajowy widzi, że źle, ale mówi prawdę, że on. „No — mówi ekscelencya pan hrabia — to odprowadzisz zaraz te psy, ale nie tam skądeś je zabrał, tylko aż do dworu, do Żornisk, a uważaj, żeby się poczciwym psom co po drodze nie stało, bo byś zato odpowiedział, i więcej psów nie łap, bo by ci pan Mileret dobrze skórę wygarbował. Przeprosisz pana doktora i powiesz, że już nigdy psów łapać nie będziesz. Zrozumiałeś?— „Zrozumiałem“ — „Wszystko?“ — „Wszystko“ — „Zabieraj się“.

Ja tymczasem chodziłem po lesie, szukam, ani słychu o psach. Już het, het z południa, myślę sobie, najadły się gdzieś capa, taj leżą. Wyszedłem na drogę, idę po mału. Obracam się, a tu ktoś prowadzi psy. Zaczekałem i poznałem zdaleka, że to nasze psy. Oho, myślę sobie, pewnie z listem idzie, to jeszcze raz będziemy dziś polowali, a ja zmęczony i wieczór zachodzi, taj święta niedziela.

Zbliżył się gajowy z psami do mnie, a ja mówię: „Połapaliście psy Janie, a ja od rana dybię za nimi; a macie list?“ „Oj, bodaj was z waszymi psami, mówi Jan, ta to odkąd żyję, nie byłem przed takim ołtarzem, jak dziś z waszymi psami“. I jął mi opowiadać całą rzecz. Ucieszyłem się i mówię: „Dajcie Janie psy, a sami wróćcie do domu; szkoda wam lecieć tylki świat po piaskach nogami“. „A niech Bóg broni — mówi Jan — co rozkaz, to rozkaz! Odprowadzę psy aż na miejsce, a niechże się dowiem, co mam robić, taj żebym jak waryat nie uganiał za psami po krzakach, taj obdzierał na sobie łachy, taj żeby mnie tam zato jeszcze lada jaki walił w pysk jak w bęben. Albo to mnie mój pysk nie miły? Ta i zębów z rzepy nie powstawiam. Cesarzowim tyle lat służył, alem na taką niesprawiedliwość nie trafił. Chwała Bogu, co się już raz tak stało, taj wiem, czego mam się trzymać. „Nie łap psów, bo będę garbował“. Niech sobie psy hulają teraz aż po pod sam nos — ou-wa, co mi zrobisz? nie gągniesz pyska! bo bym do samego ekscelencyi trafił. Abo to on myślicie taki straszny? Jak Boga kocham, że nie; tak samo człowiek, jak każdy inny, a tak łagodnie gada, aż miło. No, poznać, co to wielka osoba“.

I taka w Jana ochota wstąpiła, tak nogi rozpuścił, że ja już nie mogę nadążyć. Przyszliśmy obaj na dziedziniec, a pan doktor siedzieli na ganku, taj szust ręką do kieszeni. Tylko my się zbliżyli, a pan mówią: „To ty z Janowa, masz list?“ — „Nie, nie mam“, mówi Jan. Pan doktor dali mu 5 ryńskich, taj mówią: „Tylko durniu nie łapaj moich psów więcej, bo one same do domu trafią; bądź zdrów!“ Jan nie powiedział ani słowa, ścisnął garść, taj poszedł. Pan mówią do mnie: „No, a capa nie znalazł?“ — „Mówił, że nie.“ — „On by ci głupi powiedzieć! Ja ci ręczę, że ukradł, bo ja capa dobrze strzeliłem, padł z pewnością. Może Jana jutro zdybiesz, to powiedz mu, niech capa zje, niech każdemu powie, że ja mu dałem, tylko niech mi rogi odda“. — Nie odpowiedziałem nic na to, ale pomyślałem sobie, że on i tak capa zje, a za same rogi 5 szóstek dostanie.

Nakarmiłem psy, przywiązałem, taj idę do domu. Zrównałem się z karczmą i słyszę: Tomaszu, Tomaszu! A to mój Jan już tam odpoczywa. Byłbym nie poszedł, bo to mnie nikt w karczmie nie widywał, ale myślę sobie, może ja rogi dstanę. Wstąpiłem. Kazał Jan dać piwa, pijemy, a ja mówię: „Janie, znaleźliście capa, to oddajcie tylko rogi, a pan doktor z pewnością wam coś dadzą“. — „Nie znalazłem capa, jak Pana Boga kocham — mówi Jan — a jakbym znalazł, to musiałbym zaraz meldować na filwarteryi. A może żeby szukać? Ale co tam, Tomaszu, najlepiej przyjmywać tak, jak Pan Bóg daje; nie znalazłem od razu capa, to niech tak będzie, nie warta go szukać, żeby zamiast capa jakiej biedy nie nadybać“.

Ot, i tak w Żorniskach byłem 14 lat i bardzo mi tam dobrze było. Pan był bardzo dobry i byłbym tam do teraz, żeby mnie bieda była nie spotkała.

Ani mi się śniło, abym ja się kiedy żenił. Zawsze miałem na pamięci, że mojemu panu opiekunowi, świeć Panie nad jego duszą, dopóty dobrze było, póki sobie nie wziął biedy do domu. Ot, i pan dobrze robią, że się nie żenią. Nie ma się co spieszyć, bo, jak to mówią, prędzej czy później człowiek biedę znajdzie, choć za nią nie szuka. Tak też razu jednego pani doktorowa przywiozła z sobą ze Lwowa służącę, taj tak sobie zaczęli niby to żartować, taj pani sama się w to wdała — a wreszcie moja sama, jak mi się zaczęła podsuwać — buch! zwarjowałem, taj się obabiłem. Oj, oj! odtąd nie ma dla mnie dobra na świecie. Jak ponakręcała różnych nieszczęść, i wdała się z dworakami w niepotrzebne rzeczy, taj i przed panią na mnie nagadała — nie było co robić, trzeba było uciekać z tego piekła i od tej sromoty. Słyszę, że tu potrzeba gajowego, poszedłem i przyjąłem obowiązek. Pan doktor nie chcieli mnie puścić, ale

mnie przyszły słowa mego pana na myśl: „Cygan niech sobie nigdy chałupy nie buduje“. Siłą mocą zabrałem się stamtąd, ot, i siedzę już tu kilkanaście lat. Ale nie ma dobra, może aż po śmierci. Ot, żeby jeszcze rok, dwa — taki się człowiek doczeka, i z moim panem opiekunem aż tam z pewnością się spotkam.

* * *

Takie to były koleje życia i takie opowiadanie Tomaszka.

Razu jednego, jesienną porą, a było to już około 12-tej w nocy, leżę w łóżku i czytam książkę, oczekując na Morfeusza, który tą razą gdzieś po lesie pląsał, zapomniawszy o mojej chałupie — gdy wtem słyszę jeden strzał i drugi i trzeci... Wychodzę na dwór, a tu salwy przeplatane nawoływaniem nie ustają. Wracam do chaty, biorę czemprędzej buty na nogi, surdut na plecy, trąbkę w rękę i wychodzę.

Ogłosiłem się trąbką na nieustające salwy i nawoływania i zdążam ku miejscu, skąd mnie one dochodziły. Noc była ciemna, a przytem mglista do tego stopnia, że gruntu pod nogami nie było widać. Mieszkałem wówczas pod lasem, przedzielony od wsi długiem pastwiskiem. Droga prowadząca do mego pomieszkania przepoławiała to pastwisko prawie na dwie równe części, a od drogi poczynała się na prawo i na lewo lekka pochyłość i kończyła się o jakie 300 do 400 kroków poprzerywanymi debrami, ciągnącymi się w różnych kierunkach. Debry te były w niektórych miejscach bardzo głębokie, o stromych ścianach, dla ochotnika piechotnego prawie nie do wzięcia, a biada temu, ktoby wozem i końmi głębokość ich chciał zmierzyć. Otóż strzały i nawoływania dochodziły mnie właśnie z tych deber, tam też co rychlej zdążałem, domyśliwszy się, że jakiś oman szatański tam, a nie do mej chaty zawiódł podróżnych. Im bliżej byłem, tem bardziej podwajałem kroki, będąc pewnym, że jacyś znani mi ludziska z przygodą walczą, bo i nazwisko moje rozróżniałem w wołaniach o pomoc. Zbliżam się wreszcie i poznaję trzech dobrych znajomych: poetę Aurelego, fotografa Teodora i artystę dramatycznego Gustawa, którzy do mnie ze Lwowa zdążali, by na przyszły dzień zapolować.

Bogu dzięki, obeszło się bez większego szwanku; ani jednego rozbicia głowy, ani jednej kości złamanej, prócz, że poeta sporą garść błota wyniósł na swym nosie, przyczyniając się tem fantastycznie do pogłębienia debry. Woźnica, żydek najęty, płakał nad połamanym wehikułem, aż wreszcie z kawałkami bryczki i z końmi wydobyto go z debry, i — o dziwo! — także bez większego szwanku.

Przyprowadziłem umęczonych mych gości do domu, tłumacząc te ciężkie przygody jako prognostyk dobrego polowania i kazałem chłopakowi nastawić samowar. Przy herbacie z zastawą chleba, masła, szynki i kiełbasy, dobytej z myśliwskich torb mych szanownych gości, uspokoiły się jakoś rozhulane nerwy, a że anegdotkami i facecyami sypali moi goście jak z rogu obfitości, każdy się domyśli. Z łokciem kiełbasy i funtem szynki w żołądkach układłem ich wreszcie do spoczynku, ale krótkiego, bo już miało się ku świtaniu.

Posłałem po Tomaszka, by z brzaskiem dnia był u mnie. Rano przebudziłem się, patrzę na zegarek: pół do 7-mej. Wybiegam na ganek, a Tomaszek siedzi już na ławce.

— Tomaszku — mówię — przyjechali panowie ze Lwowa, będziemy dziś polowali, jak myślicie, gdzie?

— Dziś dobrze nie pójdzie — mówi Tomaszek — bo mglisto było w nocy i rano, to zając rozsypał się w polu, taj po wrzosach, no, ale coś i w lesie będzie.

— Więc gdzież będziemy polowali?

— Ta, jak pan każą, tobyśmy wzięli „Mogiłki“, taj kawałek po „Ezopa lenię“ od pól Jaśniskich. Ale po za lenię może pan nie każą brać, bo tam będzie parę sarn, ażeby ich nie rozpędzać, niechby miały spokój, aż czas przyjdzie.

— Dobrze — mówię — weźcież Andrucha, przejdziecie przez wieś, zbierzecie kilkanaście chłopców na nagonkę i czekajcie na Mogiłkach koło rogatki, my tam zaraz będziemy.

— A Szumlasa nie weźmiemy? — zapytał Tomaszek.

— A na co?

— Ta on nie zaszkodzi. Ja go będę trzymał przy torbie, a kto tam wie, jak ci panowie strzelają. Nuże postrzelą co, to puścimy na trop sobakę. Szkoda, żeby zwierzyna gdzie po lesie gniła. Pan Bóg tylko raz na rok rodzi.

— No, to dobrze, Tomaszku, weźcie i Szumlasa ze sobą.

Pobudziłem moich gości, samowar już kipiał, i w godzinę wyruszyliśmy do lasu.

Bierzemy miot jeden, drugi i trzeci. Tomaszek i tą razą się nie pomylił; zajęcy mało było w lesie. Wreszcie schodzę się z Tomaszkiem i mówię:

— Bójcie się Boga, Tomaszku, panowie mało strzelają, co by zrobić?

— A cóż zrobić? Zając w polu, jak go w kraju nie ma, dalej w las nie ma co iść.

— A co zrobimy?

— Już i tak z południa, pójdziemy jeszcze w „Turycze“, chłopcami zajmnę zrąb, tam coś będzie, a sam z Szumlasem zajdę od grubego lasu ponad debrę; tam jest zając, to sobaka trochę pogoni i panowie będą kontenci. Tylko trzeba panów rozstawić wzdłuż po nad sianożęć; jak chłopcy wypędzą co ze zrębu, to pójdzie na panów, taj zabiją, a Szumlas z tym zającem z nad jaru pewnie tamtędy pójdzie, i wszyscy będą strzelali do niego, ale mu żaden nic nie zrobi i będzie tyle strzelaniny i uciechy, aż nu!

Postąpiłem wedle rady Tomaszka, obstawiłem miot myśliwymi, ja zaś stanąłem ostatni, mając całą łąkę przed sobą, a odemnie pierwszy stał poeta Aureli. Nagonka ruszyła z krzaków. Pomknął jeden zając, ale poszedł bez strzału. Wtem nad debrą w grubym lesie zaintonował Tomaszek: „hu, kot-kot, kot, kot, kot, ha!“ i w tej chwili jakby za wypuszczonym z torby zającem zawtórował Szumlas dźwięcznym głosem, i prowadzi „na oko“ zająca wprost na łączkę. Widzę jak zając wypada na łączkę i defiluje, pada jeden strzał i drugi — zając idzie, zrównał się z drugim myśliwym, i znowu padają dwa strzały — zając idzie, a pies głosi aż las chodzi. Pusty śmiech mnie porwał, już widzę i poeta nastawił swoją rurę, zając go już mija — pada strzał — zając idzie — odsadził się o jakie 100 kroków — wtem pada drugi strzał poety i zając koziołkuje na miejscu. Nie było wątpliwości — padł po strzale pana Aurelego, a był tylko jednym śrutem trafiony w głowę. Piękny to był strzał i niewątpliwie tkwi dotychczas w pamięci poety. Nadciągnął Tomaszek strasznie zdziwiony, rzucił z ukosa okiem na zająca i poetę, i rzekł półgłosem: „Na wszystko przychodzi czas“.

Zakończyliśmy polowanie i w dobrych humorach wróciliśmy do domu.

W jakiś czas potem nie zapomniał Pan Bóg o swoim słudze cyganie, przeznaczając i dla mnie kilkadziesiąt mil wędrówki. Po siedmiu latach pobycia z Tomaszkiem, nastąpiła chwila naszego rozstania.

Nigdy mnie w mojem życiu tak szczerze nikt nie żegnał, jak poczciwy Tomaszek. Gdym siadał na wóz, rzekł

z niekłamaną szczerością: „Niech Pan Bóg prowadzi szczęśliwie, niech dopomaga i błogosławi“.

Jadąc, zrównałem się z debrą, którąśmy od niejakiego czasu „debrą Aurelego“ zwali; oglądnąłem się, Tomaszek stał w miejscu, prowadził mnie wzrokiem serdecznym, a może i przeczuwał, że po raz ostatni się widzimy. Jeszcze raz posłaliśmy sobie pożegnanie skinieniem ręki, a w duchu: bądź zdrów, stary druhu cyganie!

Jak się dowiedziałem, Tomaszek od lat dziesięciu depce już ścieżki w lepszej krainie, a mnie dobrze i tu, gdzie głogi rosną i szarak ma swe komysze — i czekam górnych rozkazów „nie budując własnej chaty“. *Ago.*

Polowanie z wyżłem na ptaki.

Z własnych doświadczeń

podał

Seweryn Kisielewski.

V.

Na słonki.

Jeszcze przed piętnastu laty polowano z wyżłem i strzelano słonki „na buszowanego“ nietylko w porze jesiennej, ale także i na wiosnę. Odkąd jednak myśliwi zyskali przeświadczenie, że słonki tu i ówdzie w naszym kraju pozostają przez lato, a nawet się lęgną, zaprzestano „buszówki“ w porze wiosennej i ograniczono się na polowanie wyłącznie na ciągu.

Do polowania na ciągu nie jest wyżeł niezbędnie potrzebny; owszem, może nawet zaszkodzić, jeśli nie jest dobrze ułożony i nie może zachować się spokojnie. O tym rodzaju polowania nie będę zatem się rozpisywał, tembardziej, że o słonce, sposobie jej żywienia się, nawyczkach i zachowaniu się na ciągu, pisali już nasi ornitologowie i przyrodnicy, myśliwi z głęboką znajomością rzeczy i tak wyczerpująco, iż dla mnie najzwyklejszego myśliwego nie pozostaje prawie nic do powiedzenia.

W obec tego dziwię się tylko, iż niektórzy myśliwi do dziś jeszcze utrzymują stanowczo, że jest dwie odmiany słonek, większe i mniejsze. Wprawdzie i ja ubiłem raz słonkę nieco mniejszą, niż zwyczajna, ale nie spostrzegłem ani w upierzeniu, ani w jej budowie zgoła nic takiego, coby mogło być znamieniem odrębnego gatunku. Co zaś do powodów powstawania takich niedorostków, nie będę się zapuszczał w domysły, gdyż sprawa ta należy raczej do zakresu badań zawodowego przyrodnika, niż myśliwego. Zresztą mniemam, iż dla nas myśliwych, może ta kwestya pozostać ostatecznie nierozstrzygniętą, byleśmy mieli dużo słonek i wiedzieli, jak, gdzie i kiedy najodpowiedniej na nie zapolować.

Do znanych szczegółów o zachowaniu się słonki, którą lud prosty „słonczką“ nazywa, mogę dodać jeszcze tylko jeden jedyny szczegół, który również jest bardzo charakterystyczny.

Wiadomo powszechnie, że słonka w porze wiosennej, czy to na ciągu wieczornym lub rannym, czy też ruszona w dzień, nie zapada w tem miejscu, gdzie się zniżyła, lecz ciągnie jeszcze kilkanaście kroków krzakami, zmieniając prawie zawsze kierunek, jaki pierwotnie w locie zachowywała. Otóż co do słonki wiosennej, jest to prawda niezaprzeczona, lecz w jesieni nie spostrzegłem tej właściwości ani razu; owszem, odnalazłem słonkę zawsze tam, gdzie ją zniżającą się widziałem. Jeżeli tam był krzak, to była niezawodnie pod krzakiem, a jeżeli rów lub jakaś inna głębsza wklęsłość, to w tem miejscu siedziała, gdzie widziałem ją zapadającą. Jedynie w rzadkim, wysokopiennym lesie, gdy się spuściła na ziemię, biegła piechotą w prostym kierunku jeszcze kilkanaście kroków aż do pnia drzewa, gdzie przywarowywała i siedziała dopóty, dopóki wyżeł jej nie ruszył.

Opierając się tedy na tem, co widziałem własnymi oczyma, ośmielam się twierdzić, że *słonka w jesiennej dobie nie myli, lecz zapada i pozostaje tam, gdzie ku ziemi się zniżyła.* Powodem tego jest może okoliczność, że w skutek mocnego oblania, nie jest do lotu pochopną. Z tego samego powodu zdarza się bardzo rzadko, aby uchodziła przed wyżłem piechotą, a jeśli się już na to zdecyduje, to przebiega najwyżej dziesięć do piętnaście kroków, poczem znowu przysiada, lub podrywa się i odlatuje. Wszelakoż ma to miejsce tylko wtedy, jeżeli wyżeł jest jeszcze daleko, jeżeli zaś już się zbliżył, ratuje się za pomocą lotów.

Skoro pies wystawi słonkę, gdy siedzi pod krzakiem, a następnie na nią natrze, nie porywa się słonka zaraz z miejsca, lecz wybiega parę kroków po drugiej stronie krzaka i dopiero potem podnosi się w powietrze. Z tego powodu należy stanąć do strzału nie za wyżłem i nie naprzeciw niego, lecz z boku, tak, iżby oprócz strony od wyżła, jeszcze przyczołkowa i przeciwna strona krzaku była widoczna. Natomiast na otwartych miejscach, nie porosłych krzakami, lub też w kukurudzach i ziemniakach, zwykła słonka wzlatywać od razu z miejsca.

Tu muszę nadmienić, że słonki można trafić w kukurudzach i ziemniakach wyłącznie tylko w jesieni i to tylko w takim razie, jeżeli pole przypiera do większego obszaru krzaków, lub gęsto podszytego lasu. Ktoby szukał słonki w dobie wiosennej na wspomnionych miejscach, albo nawet na otwartych polanach w środku lasu — ten mógłby szukać aż do sądnego dnia i pewnieby jej nie znalazł, bo to jest także charakterystyczną nawyczką słonki, że na wiosnę przebywa wyłącznie w gąszczach lasów, obfitujących w mokrowiny, na których żeruje, w jesieni zaś nie przebiera i po-

jawia się nietylko w miejscach ulubionych, n. p. olszynach, gdzie pasają bydło, lecz zapada także na otwartych miejscach blisko lasu, a wypadkowo znajdzie się nawet w chłopskim ogrodzie. Na dowód tego przytaczam, że w jesieni 1876 roku ubiłem słonkę w Podfilipiu u chłopa na ogrodzie, gdzie siedziała pod kozirogiem (Lycium), tworzącym żywopłot wzdłuż jednej strony ogrodu. Przyczyną odmiennego zwyczaju pojawiania się słońki na wiosnę i w jesieni są najprawdopodobniej warunki żeru.

A teraz przytoczę przykłady, na których opieram twierdzenie, że słonka w jesieni nie zmyla kierunku przy sposobności spuszczania się na ziemię.

W roku 1882 polowałem w jesieni na słonki w okolicy Peczeniżyna. Miejscowość ta leży wśród gór, poprzerzynanych szerokimi dolinami i jarami o tak stromych ścianach, że tylko z wysiłkiem wdrapać się na nie można. Po tych dolinach, porosłych z rzadka bądź olszyną, bądź też krzakami różnego gatunku, pasa lud wiejski swoją chodobę. Tam to trafiłem na słonki i użyłem sobie tak, jak nieraz bywało, gdym polował na przepiórki — gdyż wróciłem do domu bez ładunka w torbie. Co sto, dwieście kroków wystawiał wyżeł słonkę siedzącą pod krzakiem. Jeżeli którą chybiłem (niestety, chybiałem wtenczas wiele razy) to uważałem pilnie, gdzie zapadła, szedłem tam prosto i skoro rozkazałem psu ruszyć naprzód, wystawił mi ją za każdym razem pod tym samym krzakiem, gdzie zapadła. Jeżeli w pobliżu był drugi krzak, to zerwawszy się, leciała zaraz za ten drugi krzak, aby się ukryć i strzał uniemożliwić; jeżeli zaś krzak, pod którym siedziała, stał samotnie, to podniosłszy się na trzy do czterech metrów w górę, leciała prosto, jednak zawsze w kierunku innych krzaków. Jedną wyparowałem z krzaków między rzadkie wysokopienne olchy i widziałem, jak spuściwszy się na grunt, biegła po ziemi jeszcze z piętnaście kroków aż do pnia jednej olchy, gdzie przycupnęła. Ponieważ olchy nie zajmowały szerokiej przestrzeni, więc podprowadziłem wyżła aż na oddalenie czterdziestu kroków i kazałem czekać, sam zaś stanąłem z boku, dając psu równocześnie rozkaz, aby poszedł naprzód. Wyżeł musiał widzieć, gdzie słonka zapadła, ponieważ patrzał ciągle w tym kierunku, gdzie siedziała, a ruszywszy z miejsca, szedł wolno i przysiadał na nogach. Wtedy to widziałem, jak słonka, zoczywszy najprawdopodobniej idącego ku niej wyżła, zaczęła dalej uchodzić i w oddaleniu dziesięć do piętnaście kroków od poprzedniego miejsca, przycupnęła znowu pod drugiem drzewem. Przytem biegła tak szybko, że nie było czasu, aby złożyć się i strzelić. Gdy wreszcie wyżeł, zbliżywszy się na dziesięć kroków do miejsca, gdzie pierwotnie siedziała, stanął i nastawił sygnał, upomniałem go, aby poszedł dalej. Przybywszy do pnia, który opuściła, obwąchał go i poszedł ze spuszczoną mordą prosto za śladem, którędy uciekała. Za chwilę zerwała się słonka i wyleciała z pomiędzy drzew, chciała lecieć do krzaków, ale było już za późno, gdyż spadła na ziemię, trafiona celnym strzałem pod skrzydło.

Drugą słonkę, po chybionych dwu strzałach, zdołałem prześladując ciągle wypędzić z krzaków aż pod jedną z chłopskich chat, które stoją tam częstokroć pośród krzaków i są rozrzucone w oddaleniu 1 do 2 kilometrów jedna od drugiej. Słonka, o której wspomniałem, wyleciawszy z krzaków, nie chciała dalej lecieć, lecz zapadła w rów, odgraniczający krzaki od chłopskiego obejścia. Rów ten oddalony był od chaty najwięcej czterdzieści do pięćdziesiąt kroków. Bojąc się strzelać w kierunku chaty, przelazłem przez rów; wszedłem na chłopskie podwórze i podprowadziwszy wyżła ku miejscu, gdzie widziałem ją zapadającą, kazałem mu iść naprzód i szukać. Zaledwie wyżeł zbliżył się nad brzeg rowu, zasygnalizował zaraz, a następnie, stósownie upomniony, wypłoszył ją z rowu. Gdy się podniosła i zaczęła odlatywać napowrót do krzaków, strzeliłem i chybiłem po raz trzeci. Na szczęście nie było to pudło całkiem gruntowne, gdyż słonka, naznaczywszy, zaczęła spadać ukośnie, przyczem zawisła na krzaku o metr nad ziemią. Na rozkaz „aport“, pomknął wyżeł prosto w kierunku, gdzie widział ją spadającą, ale ponieważ dłuższy czas nie powracał, więc udałem się za nim i zobaczyłem słonkę uwięzioną między widełkami jednego z gęstych pędów krzaka, podczas gdy pies chodził ciągle w około niedaleko krzaka, przystawając chwilami i pompując powietrze. Widocznem było, że ją czuje, tylko nie może odszukać. Nie chcąc wyżła męczyć, pokazałem mu ją palcem, a on spiąwszy się na tylne łapy, oparł przednie na gałęziach i zgrabnie wydobył ją stamtąd. Gdy mi ją przyniósł, skonstatowałem, że była żywa i prawie całkiem zdrowa, bo miała złamany tylko lewy lot przy ostatniem zgięciu.

Od tej chwili mój wyżeł, buszując za słonkami, obwąchiwał krzaki nietylko dołem, ale także górą, a gdy chodził za postrzeloną, to umiał miejsce, gdzie zapadła, tak dokładnie spenetrować, iż nie zdarzyło mi się nigdy, aby mi przepadła. Z tego powodu radzę każdemu, kto poluje z wyżłem na słonki, aby go nauczył wietrzyć także górą, a pewnie tego nie pożałuje, gdyż postrzeliwszy słonkę, może być pewnym, że mu nie przepadnie, choćby wyżeł nie miał nawet dość ostrego wiatru, bo i wzrok przyjdzie mu czasem w pomoc. Nauczenie wyżła szukania górą jest nadzwyczaj łatwe, bo dość jest ubić jakiegokolwiek ptaka łownego, położyć go na gałęziach nizkiego krzaka, a potem, strzeliwszy drugi raz z pewnej odległości w ten krzak, kazać psu aportować. Skoro nie odszuka, trzeba mu pokazać, aby się dowiedział, iż ptak bywa czasem na gałęzi. Jeżeli parę razy ptaka z krzaka zdejmie, to już zapamięta raz na zawsze, iż jeśli nie ma zdobyczy w dole, to trzeba jej w górze szukać.

Także bardzo charakterystycznem u słonki jest uderzanie lotami przy zrywaniu się, podobne poniekąd do klaskania w dłonie, jednak z pewnym jakimś wyrazić się niedającym fukiem w powietrzu, tak dalece, iż kto je raz słyszał, pozna potem słonkę zrywającą się, choćby jej nawet wcale nie zobaczył, co zdarza się dość często, bo gdy ją pies wyminie, zrywa się za plecami myśliwego. W skutek tego jest słonka do strzału bardzo trudna, tembardziej, że, jak sądzę, nie ma myśliwego, któremuby zerwanie się słonki nie sprawiało emocyi. Dodawszy do tego jeszcze niezmiernie szybkie ewolucye, jakie słonka robi, aby coprędzej zniknąć poza krzakiem, oraz zbyt małą przestrzeń do strzału, jaka w gęstych krzakach się nadarza, to nietrudno będzie przyjść do przekonania, że i najwprawniejszy strzelec zepsuje czasem trochę prochu, nim jedną słonkę na „buszowanego“ ubije.

Nakoniec muszę jeszcze nadmienić, że nie zgadzam się z takim rodzajem polowania na słonki, aby myśliwy, zapuściwszy wyżła w krzaki, wcale go nie widział, i dlatego twierdzę, że wyżeł na polowaniu na słonki winien bezwarunkowo chodzić krótko i być bardzo karny, aby go myśliwy mógł mieć ciągle na oku. Mniejsza już o to, czy ten wyżeł szuka w czwale, czy też truchtem, bo to różnicy nie robi; byle stawał zaraz, jak go tylko wiatr dziczyzny zaleci, to niezaprzeczenie będzie najodpowiedniejszy.

Zapuszczać wyżła w krzaki można tylko wtedy, jeżeli jest bardzo pewny, lecz i mimo to, idąc obok krzaków, potrzeba koniecznie od chwili do chwili powtarzać: „Naprzód! naprzód!“ albo „Poszukaj dalej!“ Skoro bowiem dobry wyżeł zwietrzy zwierzynę, staje zaraz i nie rusza z miejsca

dopóty, dopóki myśliwy nie wyda mu stosownego rokazu. Jeżeli tedy myśliwy zachowa się milcząco, to wyżeł stoi na miejscu aż do chwili, kiedy świstem lub nawoływaniem do nogi, zostanie do ruszenia zmuszony. Gdy ruszy, to najpierw poskoczy w miejsce, gdzie zwierzynę zwietrzył, a potem dopiero, gdy ją wypłoszy, wraca do nogi i wstydzi się, że popełnił głupstwo. Przekonałem się niejednokrotnie, że wyżeł da się odwołać od zwierzyny, którą wystawia, ale tylko wtenczas, kiedy widzi, że myśliwy nań patrzy. Natomiast w krzakach będzie stał bardzo długo i sam nie ruszy, lecz skoro usłyszy świst, lub wołanie do nogi, nie może pohamować ciekawości, aby wprzód nie popatrzeć, co to była za zwierzyna, którą wystawiał. (Dok. nast.)

KORESPONDENCYE.

Nawojowa w czerwcu.

(Przygody z kłusownikami).

Ostatnią wiadomością, jaką z Szanownymi Czytelnikami „Łowca“ się podzieliłem, była obława na dzierzawcę polowania, butnego wójta, który na zadzierzawionym obszarze mordował z zamiłowania sarny bez różnicy płci, te ostatki, które pozostawił ryś i wilk, goście często tu przebywający.

Udało się rzeczywiście upokorzyć pana naczelnika, zaco podpisany składa dzięki świetnej c. k. Władzy powiatowej, gdyż przykładnie ukarany i nie przypuszczony więcej do dzierzawy polowania, zaczyna się powoli usuwać od kłusowniczego sportu.

Dziś poczuwam się do obowiązku opisania drugiej takiej obławy na gorliwych tępicieli sarniego rodu, lecz daleko w rezultacie korzystniejszej, a to dlatego, iż wyłapano całą szajkę kłusowników, którzy od kilku a nawet kilkunastu lat, w lasach przez podpisanego administrowanych, tudzież na obszarze państwa Rytro rzemiosło swe uprawiali. Dniami, najwięcej do wypraw kłusowniczych nadającymi się, były wszystkie święta i niedziele, a polowania doroczne odbywały się w święta Bożego Narodzenia i na Wielkanoc. Sądzili ci poczciwcy, że w dniach tak uroczystych straż leśna i leśniczy są w kościele lub na odwiedzinach, i z całą bezczelnością, bo w 6 8 strzelb puszczali się w głąb lasów państwa Nowojowskiego, by mieć na święta świeżą zwierzynę.

Pomylili się jednakowoż; śledzono ich we wszystkie dnie świąteczne, a raporta, jakie otrzymywałem od straży leśnej przez lat trzy, brzmiały mniej więcej jak następuje: Byli, ale na Ryterskiem, nie na naszem — byli na naszem, nie ubili nic, złapać nie było ich można. Inny raport tak brzmiał: Było dwóch, leśny zawołał na jednego po nazwisku „stój bo strzelę!“; rzeczywiście wymieniony przez leśnego stanął na widok karabina, ale drugi, wytrawniejszy, szarpnął go za ramię mówiąc: uciekajmy, on nie strzeli, a gdyby cię w ręce dostał, takby cię kolbą popukał, żebyś jutra nie doczekał — i uciekli. Nie przekonano się nigdy, aby co ubili. Dopiero tegoroczna gwiazdka i im i nam wiele nowego przyniosła; kłusowniokom 2 kozy, a nam i kłusowników i kozy.

Było to w dzień św. Szczepana. Straż leśna, rozstawiona z brzaskiem dnia na kilku punktach rewiru II-go, oczekiwała przybycia upragnionych gości od strony wsi Kokuszka, gdzie kłusownicy mieszkają. Oczekiwanie nie zawiodło. Kłusownicy weszli w mioty między godz. 5 a 6tą rano od granic, wcześniej nim straż leśna była obstawiona, a silna zawierucha śnieżna pokryła w zupełności ich ślady. Mówię „w zupełności“ dlatego, iż każdy z nich miał na nogach „łazidła“ tj. buty śnieżne, w których się wcale nie zapadali. Przy tej sposobności muszę Szanownym Czytelnikom objaśnić bliżej, jak „łazidła“ wyglądają. Jestto obręcz świerkowa o średnicy 36 cm. na 5 cm. wysoka a 1 cm. gruba. Obręcz ta związana jest dwoma listewkami na 4 cm. szerokimi, które są w niej umocowane w odstępach $^1/_3$ średnicy. Nad tymi znajdują się drugie dwie listewki, nie poziomo jak poprzednie, lecz pionowo do powierzchni koła a prostopadle do poprzednich stojące, umocowane również w obwodzie obręczy, i te służą do ujęcia nogi. Łazidła przymocowuje się do nogi sznurkiem lub rzemykiem, przewlekając takowy kilkakrotnie przez dziurki, wywiercone w pionowych listewkach.

Instrument ten prymitywny oddaje ogromne usługi podczas wielkich śniegów przy chodzeniu po górach i małe tylko ślady po sobie zostawia.

Z tych to powodów nie spostrzeżono, iż kłusownicy są już w lesie. Dopiero jeden, a wkrótce drugi strzał wydały ptaszków. Na odgłos strzałów pospieszyła straż leśna ku potokowi, by uciekającym ze zdobyczą przeciąć drogę; niestety odległość była za wielka, śnieg ogromny, nikt przeto nie był wstanie zdążyć na czas. Na szczęście jeden z leśnych zobaczył zdaleka kłusownika wlokącego kozę, ale ten zoczywszy leśnego rzucił kozę a sam uciekł. Inny, który drugą kozę powalił, zdołał uciec z nią do domu zupełnie nie spostrzeżony.

Było to już koło godz. 2-giej po południu; śnieg przestał padać, pozostawiając piękną ponowę, i właśnie ta okoliczność przyczyniła się do wyśledzenia kłusowników. Leśniczy za tropami doszedł do wsi, gdzie kozę niesiono, obszedł dokładnie dom, gdzie ją ukryto, rewizyi jednak dla spóźnionej pory przedsięwziąść nie mógł, a zresztą, znając mieszkańców Kokuszki wiedział, że butny ten lud łatwo na nim lub straży leśnej gwałt by popełnił.

Udał się przeto jeszcze tej samej nocy do c. k. komendy żandarmeryi w N. Sączu z prośbą o udzielenie mu asystencyi w celu wyśledzenia winnych. Zależało leśniczemu także na tem, aby sprawę tę oddano żandarmowi p. Barszczakowi, temu samemu, który już poprzednio w wypadku we wstępie nadmienionym dużo energii i sprytu okazał.

Następnego dnia przybył p. Barszczak w południe do leśniczego rew. II-go i stąd udali się obaj do gminy Kokuszki celem podjęcia możliwych poszukiwań za uniesioną kozą. Dla zadośćuczynienia formie urzędowej, wezwano wójta do pomocy, której tenże początkowo odmawiał, chcąc się uchylić od towarzyszenia żandarmowi podczas rewizyj domowych. Dopiero po kategorycznem wezwaniu i przedstawieniu następstw, namyślił się i poszedł. Prócz tego ucze-

stniczyło przy rewizyi dwóch leśnych, uzbrojonych w odtylcowe karabiny.

W pierwszym domu, który przeszukano, znaleziono różne trofea i przybory myśliwskie. A muszę Szanownych Czytelników bliżej zapoznać z właścicielem domostwa tego. Nazywa on się Jan Rogólski i jest rusznikarzem kłusowników w obrębie kilkunastu wsi.

W kuźni napotkano części składowe broni; starą lufę karabinową, kurki, dwa łoża, sprężyny do zamków, całe zamki złożone, śruby patentowe itp. Jak później leśniczy wybadał, ma on mieć nawet odtylcową strzelbę własnego pomysłu, lecz z tą niestety nigdzie się nie spotkano. W alkierzu, w szafce umyślnie na zbrojownię zrobionej, znaleziono następujące przedmioty: 5 rożków prochu w trzech sortach, gruby, średni i najdrobniejszy, ten ostatni do podsypywania służący, kilkadziesiąt siekańców, bryłę ołowiu (2 kgr.), dwie strzelby kabzlowe, pojedynkę i dubeltówkę, kilkanaście kominków zapasowych, pudełko kabzli itd. Dalej znaleziono w spiżarni u tegoż samego płuca, serce i wątrobę z sarny, a gdy żandarm zapytał, co to jest, odpowiedziała baba, że to są wnętrzności z cielęcia „co się zmarniło". W tej chwili zapytuje leśniczy: „A gdzież ocieliczka?" Na to baba odrzecze: „A to łońskiego roku stał się taki przypadek". Tak wyłapana na kłamstwie, przyznała się baba leśniczemu w sekrecie, że koza jest u brata męża, którą jakiś żyd w Piwniczny kupił i dziś ma przyjść po nią. Rogólskiego samego w domu nie było (był na terminie), nie można było przeto mimo znalezionego *corpus delicti* i przyznania się baby winnego aresztować. Ograniczył się też p. Barszczak tylko na konfiskacie wyż przytoczonych przedmiotów.

Późną nocą udano się stąd do brata Rogólskiego, zwanego „Michałek", mieszkającego o milę od tamtego. W chwili, kiedy otworzono drzwi do chaty, Michałek złaził ze strychu po drabinie. Na widok siły zbrojnej zbladł, a zapytany zaraz na wstępie o kozę, dawał zawikłane odpowiedzi. Dopiero gdy mu wskazano wnętrzności i żandarm począł go energiczniej... egzaminować, przyznał się, że kozę ma schowaną w słomie na strychu, po którą właśnie chodził, miał bowiem wieźć ją zaraz do Piwnicznej. Żeby on kozę zastrzelił, do tego się nie przyznawał, twierdził stanowczo, iż ją znalazł. Po zeznaniu tem chciał Michałek uciekać, jednakowoż przytrzymano go, a żandarm, któremu chwilowo usiłował opór stawić, aresztował go.

Ścisła rewizya domowa przekonała, że jest on także miłośnikiem łowów zakazanych, znaleziono bowiem u niego następujące przedmioty: $1^1/_2$ kgr. prochu grubego, kilka rożków drobnego, siekańce, „łazidła", „raczki", (lodowce do przymocowywania pod podeszwę, nie obcas), kosmyki dwa zajęcze, służące do podkładania podczas wilgoci na kominki, torbę myśliwską, dwa garnki łoju sarniego, jeden świeży drugi stary itp. drobiazgi. Najważniejszego przedmiotu t. j. strzelby nie można było znaleść. Aresztowany nie przyznawał się do tego, aby kiedykolwiek miał strzelbę mimo wielkich nalegań... żandarma. Dopiero leśniczy, widząc płachtę koło drzwi leżącą, skręconą tak, jakto chłopi w tutejszej okolicy zwykli przewieszać przez plecy idąc na jarmark, podniósł ją i — o cudo! — znaleziono w niej ten ukochany instrument Michałka. Była to dobra, prawie nowa, kabzlowa dubeltówka. Strzelba była świeżo nabita i rozebrana; jak można było przypuszczać przygotowana w drogę. Widocznie bez broni nie chciał się Michałek z kozą do Piwnicznej wybierać, sądząc, że może mu się po drodze co trafi.

Stąd udano się na nocleg do karczmy, objuczywszy Michałka zabranymi strzelbami, kozą, wnętrznościami i torbą myśliwską, wypakowaną wszystkimi skonfiskowanymi przedmiotami. Na drodze żalił się jednemu z leśnych, że Chrystus Pan niosąc krzyż miał lżej od niego. W nocy żądał „księdza i równej słomy żytniej", na której mógłby skonać, sądząc, iż w ten sposób wzbudzi litość żandarma, chodziło mu bowiem o uwolnienie z łańcuszków. Zaklinał się, że jest tak przestraszony tem wszystkiem, iż pajęczyną można go związać. Jak się zdaje, miał napiętą ucieczkę, bo gdy widział, że żandarm i leśniczy oczy zmrużyli (umyślnie), zaglądał często do okna. Przypuszczano także, że może oczekiwał odsieczy z gminy.

Z brzaskiem dnia opuszczono karczmę i udano się na dalszą rewizyę do domostwa Piotra Gniwka, u którego komoruje Wojciech Izworski, towarzysz łowów dwóch poprzednich. W całej wsi wiedziano już o nieszczęściu, jakie spadło na biednych ludzi, których napastują niewinnie za zabicie „jakisi gadziny" w lasach dworskich.

W jednej chacie podsłuchano, jak chłop do drugiego mówił: „Cosi źle bedzie, bo ten rudy z Homrzysk ze stogutem (żandarmem) i psiorzami cegosi niuchają". Po drodze do chaty Izworskiego przyłączyło się kilkunastu chłopów do całego orszaku.

W chacie zapytana baba o Izworskiego zeznała, że go nie ma w domu, co też i inni chłopi, nie proszeni o to, twierdzili. Przypadek niestety zrządził, że miejsce kryjówki poszukiwanego zdradził kot; albowiem gdy dochodzono do tej chaty, widział leśniczy, że spłoszony kot wyskoczył nagle dymnikiem ze strychu, domyślił się więc, że ktoś musi tam się znajdywać. Poinformowany o tem żandarm wyszedł na strych i wnet go wyszukał. Za żandarmem pospieszyło na strych dwóch chłopów uzbrojonych w koły, więc leśniczy posłał za nimi leśnego z karabinem, obawiając się, by nie przyszło do gwałtu. Innych chłopów, którzy również chcieli leźć na strych, stanowczo nie puścił, a musiał do tego użyć pogróżki: „jeśli się który zbliży to strzelę", bo ustawiczne szepty i porozumiewania zdradzały, iż chłopi mają zamiar odbić aresztantów.

Po wezwaniu obecnych na strychu do porządku, zszedł żandarm do sieni i rozpoczęto rewizyę. Rezultat był jednakowoż ujemnym — nie znaleziono nic. Zdaje się że Izworski podobnych odwiedzin się spodziewał i powynosił w nocy gdzieś do kryjówek przybory myśliwskie i strzelbę.

Podnieść tu szczegółowo muszę zachowanie się bab i chłopów przez cały czas. Nie przebierali ci poczciwcy w wyrazach niezadowolenia i oburzenia na wszystkich uczestników wykonujących rewizyę, tak dalece, iż ci spodziewali się, że lada chwila przyjdzie im użyć broni, a jedynie ta okoliczność od tego ich zachowała, że prócz żandarma, leśniczy w dubeltówkę, a leśni w odtylcowe karabiny służbowe zaopatrzeni byli, które wzbudzały pewien respekt.

Po odbyciu tej wycieczki, powrócono z całą kolekcyą skonfiskowanych przedmiotów do leśnictwa Rew. II, w Homrzyskach, a stąd późno wieczór przybył do mnie żandarm z leśniczym, od których o przebiegu całej sprawy się dowiedziałem.

Po wniesieniu skargi do sądu obwodowego w Nowym Sączu, po pierwszem przesłuchaniu, został aresztowany także Jan Rogólski, a wkrótce odbyta rozprawa główna wyświeciła do reszty czyny kłusowników. Wyrok wydany na winnych skazał Michała Rogólskiego na 6 miesięcy, Jana zaś na 4 miesiące ciężkiego więzienia. Sądzę, że dotkliwa ta kara na dłuższy czas radykalnie wykuruje kłusowników od wyprawiania łowów na cudzem terytoryum.

Podnieść tu mi wypada jeszcze jeden fakt, dotyczący sprytu kłusowników. W wigilią Bożego Narodzenia byli ci druhowie w rewirze naszym także na łowach. Szczęście jednakże w polowaniu nie dopisało im, natomiast zrównoważyli je szczęściem w kradzieży, unosząc napotkaną ponętę na wilki, tj. zatrutą strychniną owcę. Widocznie uczynili to w tej myśli, by gdzieś na chłopskim potoku we wsi truć liszki. Nie popełnili oni kradzieży dla skóry lub mięsa, gdyż poznali się ci rzeczoznawcy, że to ponęta, a nie zwyczajna padlina.

Oto obrazek biedy naszej górskiej i ciągłego borykania się z niepowołanymi myśliwymi. Kończę go dziekując na tem miejscu jako delegat gal. Towarzystwa łowieckiego p. Barszczakowi za gorliwość i zaparcie się w spełnieniu trudnego a nawet niebezpiecznego obowiązku służbowego składając dzięki c. k. Władzom Sądeckim za energiczne popierania spraw łowieckich w naszym okręgu, co lepszą jak dotąd rokuje przyszłość!

Karol Gostyński.

KRONIKA.

Od Redakcyi. W ciągu września wydanym zostanie kieszonkowy, oprawny „Łowca“ kalendarz myśliwski, rybacki i leśny, zawierający, jak zwykle, najważniejsze wiadomości z zakresu myśliwstwa, rybactwa i leśnictwa, oraz bogaty dział informacyjny i notatnik do zapisków łowieckich. Między innymi pragniemy w nim pomieścić jak najdokładniejszą statystykę krajowych Towarzystw i Kółek myśliwskich, upraszamy przeto Szanowne Zarządy rzeczonych Towarzystw, ażeby nam nadesłały do końca lipca wszystkie odnośne daty, tyczące się ich roku zawiązania, określonego statutem celu, organizacyi, liczby członków, teraźniejszego składu zarządu (imiennie, pismem wyraźnem), dzierzawionego terytoryum łowieckiego, zarządzeń, tyczących się ochrony i hodowli zwierzyny łownej, wyniku łowów z ostatniego roku itd.

W pułapce. O szczególniejszym wypadku donoszą z Butzbach niedaleko Frankfurtu. Do pułapki skrzynkowej złapał się żbik, samica, i pod wpływem przestrachu zlęgła sześcioro zdrowych kociąt. Matka i dzieci — mówiąc słowami lekarskiego buletynu — zostały w dobrym zdrowiu do zoologicznego ogrodu w Frankfurcie odstawione.

Słonka w przelocie swym dotyka po kolei różnych miejsc w Europie. Koło połowy stycznia bywa jej dużo w Irlandyi, szczególniej w hrabstwie Sligo. W b. r. w dniach 11. i 12 stycznia ubiło tam czterech myśliwych 186 słonek.

Polowanie na panterę. Pisma angielskie opisują polowanie na panterę, które niedawno miało miejsce w Hajderabadzie w Indyach i zakończyło się bardzo nieszczęśliwie. Angielski porucznik, Harries, z 3-go pułku ułanów, w towarzystwie dwóch sierżantów swego pułku, krajowców, udał się za tropem pantery, gdy nagle z bardzo niewielkiej odległości wyskoczył na niego olbrzymi zwierz. Stało się to tak niespodziewanie, że porucznik mógł tylko strzelić, nie celując, i chybił. Wtedy dzika bestya rzuciła się na porucznika i byłaby go na miejscu udusiła, gdyby jeden z sierżantów, Lal-Mir-Chan, nie był z nadzwyczajną odwagą uchwycił panterę za szyję i nie usiłował jej oderwać od ofiary. Udało mu się to w części, ale rozjuszone zwierzę zwróciło się ku nowemu nieprzyjacielowi, powaliło go o ziemię i zaczęło mu szarpać piersi. Wtedy pospieszył z odsieczą drugi sierżant, Mahommed Kassim, zatapiając kindżał w karku zwierzęcia; pantera poskoczyła do Mahommeda Kassima, lecz tenże pchnął ją po raz drugi w oko i w ten sposób zakończył walkę. Pantera odstąpiła i wlokąc się chciała uciekać, a wtedy porucznik Harries trafnym strzałem położył ją na miejscu. Na nieszczęście obaj ranni nie mogli mieć żadnego ratunku i musieli przebyć cztery mile z niedokładnym opatrunkiem, jaki sami sobie zrobić byli w stanie. Skutkiem tego stan mocno pokaleczonej ręki oficera angielskiego tak się pogorszył, że por. Harries zmarł nazajutrz.

Niedźwiedź amerykański, biedny grizzly, zaczyna już i w Ameryce być rzadkością, i nie może się ostać, gdy chce kiedy zażyć swobody. Oto czytamy z końcem maja w jednej z polskich gazet, wydawanych w Ameryce.

„Wczoraj rano szedł w Waszyngtonie chłopiec negierski mieszkający w pobliżu „Zoo“ (zwierzyńca) wzdłuż drogi zwanej Pierces Mill Road, gdy niespodzianie na szczycie pagórka, po którym schodził, ukazał się zwyczajny myś, grizzly, który ze zwierzyńca krótko przedtem zbiegł. Chłopiec uciekał naturalnie i twierdził potem, że niedźwiedź go gonił na przestrzeni czteromilowej. Niedźwiedź był może trzyłatkiem. Schwycono go we wrześniu przeszłego roku w Yellow-Stone-parku i odesłano do Washingtonu.

Rychło z rana rozniosła się wieść o ucieczce niedźwiedzia, a farmerzy byli nie mało przestraszonymi; chodziło im mianowicie o dzieci, które trzeba było posyłać do szkoły. Farmerzy opatrzyli bydło i pozamykali szczelnie drzwi i okna O godzinie jedenastej zgromadził się oddział, aby zrobić obławę na mysia.

Pan Cramer z Rock-Creek- parku i p. Cramer z Zoo-parku przybyli konno, a w ich towarzstwie panowie Coyle i Houghton i farmer Rout ze swoją strzelbą. Przyłączyli się także dr. Baller i ludzie zatrudnieni w zwierzeńcu. Uzbrojeni byli w siekiery, widły a niektórzy także w pistolety. Gońba trwała godzinę. Cieśla Hesse pierwszy napotkał niedźwiedzia. Ten zrobił w tył zwrot i chciał umknąć do lasu, lecz namyślił się i zwrócił się ku prześladowcom. Przez to zgubił się, bo superintendent Blackburn i farmer Routt dali ognia i biedny myś runął nieżywy na ziemię“.

Jakże to pocieszny opis tej wyprawy — jakże odmienny od owych czasów i opisów, gdy mieszkaniec północnej Ameryki walczył z grizzlym o swą pierwszą sadybę!

Sekretarz i Skarbnik gal. Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** plac Halicki 10.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.